

BIAŁY KSIĄŻĘ.

J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

XV.

BIAŁY KSIĄŻĘ.

CZASY LUDWIKA WĘGIERSKIEGO.

T O M I

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

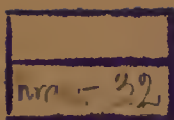
Michał Glücksberg.

Maurycy Orgelbrand.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1882.



I.

Było to dnia dziewiętnastego Listopada, roku pańskiego 1370.

Pomimo wiatru mroźnego, który dał z północy i zimę nadchodzącą zapowiadał, cały Kraków wylał się w rynek i ulice. Pomiedzy kościołami Franciszkanów, św. Trójcy i Panny Maryi a katedrą na Wawelu drogi były, wzgórze, dachy i okna tak nabite, jakby głowy ludzkiemi je wybrukowano. I mało co też więcej rozeznąć było można nad głowy różnie pookrywane, odkryte i osłonięte, nad twarze, na których jeden wyraz boleści i trwogi jakiejś był odmalowany.

Na żadnem z tych przemnogich obliczów promyka nawet przelotnej nie widać było weselości, ni płochego uśmiešku. Wszystko to stało ciche skamieniałe, odrętwione, a na wielu zaczerwie-

nionych powiekach ślady łez dostrzedz można było.

Po nad głowami tego tłumu, z powiewem nierównym wiatru, to głośniej, to ciszej, przerywanie, jęcząco odzywały się kościołów dzwony.

Dnia tego ostatnią cześć oddawano pamięci wielkiego króla, po którym płakał kraj cały. Po żadnym jeszcze może łez się tyle nie wylało. Z nim krew Piastów schodziła z tronu, który się miał dostać obcemu; grzebano z Kaźmirzem cały ten szereg mężów żelaznych, co kraj piersią bronili, a sercem miłowali, Piastów, co byli ludu tego ojcami i dziećmi.

Ostatni, jakby chciał pamięć wiekiustą zostawić po sobie, wyrósł nad wszystkich, nie ryceerstwem jak drudzy, ale miłością wielką dla całej ziemi tej, którą zjednoczył, rozszerzył, obwarował i pokojem ubłogosławił.

Tak mówili po cichu starzy ludzie, oczyma załzawionemi patrzący w dal i niewidzący nic... czuli, że z panowaniem króla tego szczęście i pokój się kończyły... Obcy przybysz koronę przyjmował jak z łaski, ani chciał znać kraju tego, którego powietrze dlań, jak mówił, niezdrowem i nieznośnem było.

Szeptano po cichu w gromadkach, że już Hasso, brandeburczyka starosta, zamek Santocki opanował, że Litwa włodziński niedokończony zamek oblegała, że Mazury zajęły też grody, które do

króla należały. To był początek dopiero... gdy król ledwie przywarł powieki, cóż dopiero dalej być miało?..

Żadne panowanie nowe tak się nie zwiastowało smutnie, takimi przeczuciami poprzedzone nie było...

Po nad szeptami ludu i smutnemi proroctwy jękiem żałobnym biły dzwony. W dali poruszał się zwolna i zbliżał orszak pogrzebowy.

Powiadano w tłumie i o tem, że nie król Ludwik nowy, ani matka jego Elżbieta, siostra Kazimierzowa, ten uroczysty obchód dla nieboszczyka czci urządzili, ale bolejący po swym panu domownicy jego, dworzanie, blizcy mu i ukochani.

Zwolna szeregi duchowieństwa ze wszystkich kościołów i klasztorów ciągnąć poczęły, poprzedzane chorągwiami patronów i żałobnymi radwanami.

Księża szli z ręką na piersi a świecą w drugiej, głowy pochyliwszy, tak smutni jako i lud, bo powszechny żal i ich, od świata oderwanych, przejmował.

Tuż zaczęły się ukazywać wozy żałobne, całe kirem obite, konie w czerni, w czerni ludzie, — wysoko wyniesione baldachinami, ze srebrnymi lzy na osłonach.

Cztery ich jednakich ciągnęło, jakby każdy stan chciał niemi żal swój okazać, i wszyscy stawali z nim u grobu.

Za tymi wozy orszak rycerstwa występował, orszak rycerstwa wspaniały, wyzłocony, na koniach purpurą do ziemi okrytych, by okazać, że syn ubogiego Łoktka, państwo ojcowskie wzięwszy w łachmanach i z drzewa, oddawał je w szkar, łatach i murach. Wiedzieli o tem wszyscy starcy co dawniejsze pamiętali lata.

Po nad głowami tego soroka rycerzy wiały chorągwie; przodem purpurowa królewska, z orłem białym, dalej jedenaście proporców wszystkich ziem, które Kaźmirz zjednoczył i silną dłonią w całość wielką je ścisnął.

Lecz nie stało dłoni — szeptano — nie stało... i oto... kruszyły się już i odpadały części państwa tego. Jaka je przyszłość czekała?

Szmer głucho przeszedł po tłumach, zadrgały, poruszyły się, popodnosiły głowy, oczy zabłyśły żywiej...

Za orszakiem rycerzy na króla ulubionym koniu, pod złotem, perłami szytem okryciem, jechał ten mąż nieznany, co postać zmarłego wyrażał.

Odgadywano nazwisko jego, a nikt nie umiał powiedzieć, kto był.

A tym, co króla znali, biło serce i łzy płynęły, bo zdało się im, że widzieli jego samego powstałego z grobu raz ostatni i przychodzącego pożegnać swe dzieci.

On to zdawał się być, jego postawę miał, wzrost, ciemne włosów kędziory, a hełm z przy-

lbicą spuszczoną, z po za której oczy tylko przeglądały, — pozwalał twarz jego widzieć tam, gdzie żelazna krata nie dopuszczała wejrzenia.

Najdroższe szaty i klejnoty ze skarbca okrywały ową króla postać, złotogłów, łańcuchy, szkarłat, zbroja sadzona kamieniami drogiemi, pas diamentami świecący.

Lecz — nikt na ten przepych nie patrzył — zmarłego króla widziano w tem widmie pogrzebowem i płacz a jęki wybuchnęły nagle.

Ostatni Piast... ostatni w koronie jechał do grobu, który za nim zawrzeć się miał na wieki.

I poszły za nim oczy i serca... A tuż sześciuset mężów, parami poczęło żałobny pochód za panem.

Wszyscy mieli szaty czarne, a każdy z nich oburącz dźwigał ogromną świecę płonącą mimo wiatru płomieniem niespokojnym i lejącą z siebie strumienie wosku, jak lzy gorące.

Szli i szli, a końca im długo nie było... aż po nad głowami ostatnich ukazało się jakby łoże niesione wysoko, mury, które dźwigali dworzanie królewscy, do ziemi całunem obwieszone, złotem i srebrem przetykanym, na którym w okół spuszczały się pasma sukien szkarłatnych i purpurowych jedwabów.

Dokoła mar cisnął się tłum w żałobie, z głowy odkrytemi, zawodzący pieśń bolesną, dziwną, nie kościelną, nie zwykłą ani dźwiękiem, ni słó-

wy, przejmującą, bo ci, co ją nucili, szlochali śpiewając, dłońmi zakrywali oczy, włosy darli na głowach i ręce wznosili ku niebiosom.

A żal ich niekłamany, straszny, do kości poruszał tych, co byli świadkami, i płacz zaraźliwy wybuchał od niego w tłumach.

O pieśni mówiono, że nieuk jakiś, wielkiego serca, z bóleści niezmiernej wyśpiewał ją, a wszyscy za nim powtarzali słowa, na które mądrzejsi ramionami ruszali, bo były proste, jakby z ust ludu wzięte, a szły w piersi, jak żelazo ostrzem bolu swego.

Rozlegała się ta pieśń natchniona a nieforemna, głuszac psalmy, głuszac dzwony i wtorem zwrotek jej tłum cały z płaczem powtarzał.

Rodzica ta ziemia straciła,

Straciła rodzica...

Żałobą się cała okryła..

Ani herold, jadący przed marami, aby im szerzą uczynić drogę i rzucający na prawo i lewo garściami szerokie grosze pragskie, nie mógł im łatwego przejścia uczynić; gawiedź ledwie schylała się po spadające na ziemię pieniądze, inni stali płacząc i popychać się dali, nie wiedząc, że na nich następowano. Żal był prawdziwy, powszechny, wielki.

Dopiero straż królewska z wielkimi halabardami pozłocistemi, rozpychająca niemi gromady i wołająca — król! król! — więcej siłą niż po-

strachem mogła ścisk wielki rozbić na dwie połowy.

Oczy wszystkich zwróciły się teraz na tę żywą przyszłość...

Orszak królewski był wspaniały i świetny, a sam on też, gdyby nie wspomnienie Kaźmierzowe, mógł wzrok pociągać ku sobie.

Otaczali go duchowni; stary, na wpół ocieśniały Bogorya, który resztę oczu miał z żalu po ukochanym Kaźmierzu wypłakać, Floryan krakowski, Piotr lubelski, biskupi.

Szedł we zbroi, z podniesioną dumnie głową, z wysoką, zimnem wejrzeniem mierząc tłumy, bez żalu i trwogi na twarzy, znudzony tylko i zobojętniały jakiś, białą chustę często przykładając do białego a pięknego oblicza.

Na hełmie świeciła mu korona drogiemi kamieniami sadzona, płaszcz królewski z ramion zwisał. Ręką jedną na rękojeści miecza się spierał.

Ani lud, któremu miał panować, ku niemu, ani on dla tych tłumów nie okazywał tego pragnienia i nadziei miłości wzajemnej, którą związek ojca z dziećmi mógł zapowiadać. Król patrzył obojętnie, na króla spoglądano z obawą.

Wiedział zaprawdę, iż zmarłego chłopów króla nie zastąpi.

Tylko okazałością dworu olśniewał i moc swą chciał dowieść. Świetnym bywał dwór Kaźmirzowy w ostatnich czasach, lecz nigdy Lu-

dwikowemu nie zrównał. A jak zmarły pan miłościw był cały, tak i ci, co go otaczali, wszędzie i zawsze bratersko się a serdecznie okazowali. Ludwików dwór miał oblicza pańskie, dumne, pogardliwie patrzące, jak on, rycerskie ale groźne, nasepione, odstraszaające.

Dość było wejrzeń tych węgierskich magnatów, obszytych złotem, by gromady rozpędzić.

Pogrzebowego też smutku ani Ludwik, ni oni nie przywdzieli nawet na ten dzień i chwilę — ledwie że się pokrzywionemi twarzami nie urągali, mówiąc zachmurzonym i płaczącym: — Teraz myśmy panami waszymi!..

Ta groźba panowania ścisłała każdemu, co na nich spojrział, pierś wzburzoną.

Inne też postacie orszaku pańskiego ukazywano sobie, szepcząc pocichu.

Szedł po za królem Władysław Opolski, który i przy śmierci Kaźmirzowej tu był i Ludwika nie odstępował.

Ten też pańsko wyglądał, i Piastowska krew płynęła w nim, ale do starych Piastów serdecznych cale nie był podobny.

W kolebce czy na zaraniu niemcy go wzięli na naukę i na swojego przerobili, tak, że mówiono, iż języka nawet swego z trudnością używał, a cale go nie miłował. Rozum, bystrość i męztwo patrzyło mu z oczu, tylko miłości w nich nie było. Szedł za królem, nie patrząc na nie

i nie widząc tylko jego, jakby czekał słowa, rozkazu, znaku.

Niekiedy też Ludwik spoglądał ku niemu, jakby pytał: — Kiedy się to skończy?

Z drugiego boku postępował za królem mąż piękny, wątłej postawy, niewieściego miłego oblicza, oczu czarnych, gorących, ruchów żywych i niespokojnych. Był to Każko książę, Szczeciński, nieboszczyka ulubieniec, wychowanek i wnuczę...

Ten roztargniony stapał, to tu, to owdzie rzucając oczyma, a na niego ciekawie oglądało się wielu. Był swój — a teraz i on na obcych łasce.

Szeptano cicho, że testament królewski, którym on wielu i to książątko obdarzył, łamać miał Ludwik, a nie myślał woli zmarłego spełnić.

Dalej szły zasłonami czarnemi całe okryte niewiasty.

Stara królowa, wdowa węgierska, Łoktkowa córka, naprzód. Dziw było spojrzeć na nią.

Ludzie lata jej, wiedzieli i liczyli, syn też czterdziestoczteroletni mąż, ją poprzedzał, a królowa jeśli nie wydawała się młodą, przynajmniej chciała nią być jeszcze.

Wprawdzie na twarzy trochę marszczków gdzieś niedługo ją porysowało, ale lice było rumiane, świeże, białe jeszcze, oczy błyszczące, a z pod zasłon widny włos nie okazywał siwizny. Jużci chciała mieć na ten dzień twarz smutną, a nie

mogła. Rzuciła wejrzeniami tu i owdzie, dawała znaki, a szła, zapominając się, tak żywo, iż co kilka kroków stawać potem musiała, aby ci, co ją poprzedzali, oddalić się czas mieli.

Obok niej stąpała powoli, z marmurową twarzą zastygłą, z oczyma spuszczone, wdowa Kaźmirzowa, Jadwiga, w czerni cała, zadumana, jakby myślami nie tu już była, a gdzieindziej.

Dwoje jej dziewczątek, córek pańskich, płakało, i chustami twarzyczki białe zasłonięte miały, a potykały się coraz na kamieniach i ślaniały biedne sieroty...

Dokoła tłum węgrowski cisnął się, półgłosem, językiem nieznanym rozprawiając, palcami ukazując na ulice i domy, a nie czyniąc sobie żałoby z tego, co dla nich było weselem i rozrywką.

A gdzie się tłum ku nim nasunął, wnet pięść podnosili nań i marszczyli brew, i za miecze się brali.

Panamami się tu czuli.

Przed trzema kościołami zatrzymywał się pochód, mary i tłumy; naostatek na Wawel do katedry ciągnęło wszystko.

Droga do Wawelu, dziedzińce zamkowe, bramy, mury, wszystko już lud zalegał gęsto.

Do kościoła ledwie dostojniejszych wpuszczano. Rycerstwo musiało cisnących się powstrzymać, a krzyki stłumione słyszeć się dawały co chwila.

Biskup Floryan wyszedł przed ołtarz wielki, rozległy się pieśni i razem z nim do wszystkich, ile było ołtarzy w świątyni, czekający zbliżyli się kapłani, niekrwawą składać za duszę pana ofiarę.

W pośrodku kościoła na dwóch srebrnych misach leżały kupy groszy, z których każdy brał ile chciał i składał przy ołtarzu za duszę pańską, na modlitwy.

A że w ścisku nie każdy mógł do ołtarza dojść, wyręczało rycerstwo, które służbę żałobną sprawiało.

Szli też owi, co mary otaczali, słudzy i urzędnicy nieboszczyka króla, niosąc każdy dań za duszę jego do kościoła, a były one tak obfite i kosztowne, jak wielki był żal po ostatnim Piaście.

Szedł podskarbi zmarłego, Świętosław, z nalewkami srebrnemi i ręcznikami, których król przy ucztach zażywał, i złożył je kościołowi na pamięć. Choć na Wawelu była już jedna, przed zgonem przez samego Kaźmierza ofiarowana najcenniejsza pamiątka, złomek tego drzewa, na którym Chrystus Pan za grzechy ludzkie umierał, w szczerozłotym krzyżu, perłami i drogiemi kamieniami ozdobny.

Za podskarbim przystąpił do ołtarza stolnik Przedbór i podstoli Janusz, niosąc cztery misy srebrne; cześnik Petrko i podczaszy Żegota kubki

i puhary: marszałek dworu przyniósł kosztowny naramiennik królewski.

Nabożeństwo ku końcowi się miało, gdy od drzwi lud odtrącać poczęto, aby się obrzęd wedle tradycyi i obyczaju rycerskiego dokonał... Wjeżdżał na koniu nieznajomy ów, który osobą króla wyobrażał, z przyłbicą spuszczoną, za nim konia powodnego przywiódł podkoniuszy, a tuż jeden za drugim poczęli po kamiennej posadzce tętniąc kopytami wjeżdżać chorążowie, jeden za drugim.

Była to chwila najboleśniejsza, ostatnia, gdy u stóp mar królewskich chorągwie naprzód królestwa onego, potem wszystkich ziem kruszyć i łamać poczęło.

Tłumiony płacz, ozwał się jękiem i rykiem; chrzęst kruszonych drzewców, rwanie się przestraszonych koni, krzyki tłumu, śpiew księży, wszystko to razem zmieszane w jeden głos dziki i straszny, najtwardszych ludzi dreszczem trwogi i szaleńcem jakimś przejmowało.

Zapominali się niektórzy, iż w kościele byli, wielkimi zawodząc głosami, ręce podnosząc do góry. Po nad szmer i łkanie wzbijały się wyrzekania.

Król Ludwik słuchać już dłużej nie mógł wrazu tego żalu, — razem z rodziną i dworem usunął się z kościoła, na zamek powracając.

Na węgrach i na nim znać było jakby obrazę i gniew, że takimi żałami przeszłość grzebano, jakby już żadnej przyszłości nie było.

I mógł zaprawdę nowy król pomyśleć sobie, iż przy największem o swych dwu państwach staraniu, nigdy tego królestwa nie pozyszcze sobie tak, jak zmarły, ani mu go zastąpi...

Z jękiem i płaczem zwolna wylewał się lud i wszyscy pogrzebu uczestnicy na podwórcę.

Stali tu u drzwi kościelnych, pod murami, na drodze, nie mogąc jakby porzucić grobu tego i rozstać się z nim.

Zewsząd dokoła tylko pochwały zmarłego i srogie żale po nim słychać było.

Starzy słudzy pańscy rozsypywali się tak, niepotrzebni się czując, bo król i stara Elżbieta już się nowcami otaczali. Mało kto z Kaźmirzowych miał przy nich pozostać.

Zawczasu ci, co zgon Kaźmirza przewidywali zbiegli do Budy, starej pani i synowi jej niosąc pochlebstwa i zalecając służby pokorne.

Co było lepszego, stało na uboczu, nie myśląc o sobie, zabiegłęjsi wcześniej miejsca zajęli.

Z dawnych ulubieńców i przyjaciół króla ledwie kto miał przystęp do zamku.

Na chleb żałobny dostojniejsi szli do króla i królowej, inni na miasto, które tych dni pełne było nietylko po gospodach, lecz gdziekolwiek kąt się znalazł jaki. Przybyli bowiem i wielko-

polanie w liczbie dosyć znacznej, w nadziei, że nowego króla z sobą, jakby na drugą koronację, do Gniezna zabiorą, i Kujawiacy, Sieradzanie i Rusini, i Mazurów trocha.

W godzinę po umilknięciu dzwonów żałobnych, na zamku już przeważnie węgrov tylko widzieć było można snujących po podwórcach, w ulicach lud gwarzył opowiadając i przypominając, co widział dnia tego; we dworze drewnianym pana Dobiesława z Kurozwęk, wojewody krakowskiego, natłok gości był wielki.

Tu, mówili sobie ludzie, łaska pańska zorzą nową świtała, a na światło takie ludzie się zawsze garną.

Starzy to byli ziemianie tutejsi Rożyce, z których Dobiesław ród swój wiódł i niemałych imion ludzie; przecie ani z Toporami i Starżami, ani z Leliwami i Śreniawitami o lepszą iść nie mogli, dla tego też może chodzili żwawo około spraw swoich, aby się wzbić do góry.

Lecz nieboszczyk król, jak miłościwym panem był dla wszystkich, tak pochlebców zbyt zabiegliwych około siebie nie lubił, ani im ufał. Szczególną też łaską jego Rożyce się nie chlubil, choć ich służby nagradzał i starszego Dobiesława na pierwsze województwo podniósł.

Ludzie rycersey byli, szczególnież stary, który nie tylko sprawę wojenną, zabawy rycerskie, łowy i turnieje lubił, ale i sam obyczaj ów butny, krzy-

kliwy, pański, świetny, który czasu pokoju zastępuje wrzawę wojenną.

Pan wojewoda lat był około sześćdziesięciu, choć ich na nim znać nie było, bo ruchliwy żywot, dłuższy czy krótszy, nie daje człowiekowi zgnuśnieć i zestarzeć.

Młodo się więc trzymał, choć synów dwu miał dorosłych; występował strojno a błyszcząco, w domu gościnnie i hojnie, i choć możny, nad możliwość swą zawsze chciał się postawić.

Dwór też otaczał go pański, stajnie i wozniki jego sławę miały, zbroje najdroższe naszał, w szkarłaty się odziewał i przed ludźmi popisywać lubił.

Syn Krzesław wdał się całkiem w ojca, i choć twarzą urodziwą młodszy, obyczajem, mową, głosem kubek w kubek był doń podobny. Oba rozumieli się i zgadywali jak najlepiej.

Drugi syn Zawisza, choć równie gorącej krwi, i do nich z charakteru podobny, lepiejby był się do konia i miecza zdał, niż do ołtarza i rewerendy; z woli ojcowskiej musiał do stanu duchownego iść, powołania doń nie mając.

Nie pytał o to ojciec, księdza mu w rodzinie było potrzeba, bo go zawczasu na wysokie dostojenstwo w kościele naznaczył. Słał więc Zawiszę do Włoch, uczyć mu się kazał i postrzydz go dał; a gdy do kraju powrócił, prędko go na dwór i do kapituły umiał wcisnąć.

Bystrego umysłu, zręczny, przebiegły, młody duchowny szczęśliwie sobie drogę torował, choć żył nie po księżemu.

Pachło mu to co ojcu i bratu, swoboda pańska, ucztowanie, konie, łowy, śpiewki, towarzystwo wesołe i niewieście zaloty.

Po troszę przestrzegając, aby nie dać z siebie zgorszenia, gdy się na wieś wyrwał, cugli popuszczając, Zawisza na ludzkie języki nie zważał wcale. Przyszłości był pewien.

Miał za sobą wiele, bo na nauce mu nie zbywało, w piśmie był biegły, ludzi ujmować umiał, i gdy było potrzeba, układał się do nich.

Zaraz po śmierci Kaźmirza, gdy ks. Suchywilk z biskupem Floryanem do Budy jechali, przyszył się do nich Zawisza, aby na dwór dostał zawczasu.

Królowę starą Elżbietę znał dawniej i pochlebiał sobie, że miał u niej łaski.

Letnia już pani Bezręka lubiła się zabawiać wesoło i młodzieżą otaczać płci obojej.

Nie było u niej dnia bez muzyki, śpiewu, płasów i pogadanek trefnych. Zalecała się jej młodzież jak mogła, i rej potem wodziła, gdy na łaskę zasłużyła.

Ale zarazem niemłoda pani poczyniała być pobożną, i z rana do Boga się wdzięczyła, a wieczorem do ludzi.

Młody ksiądz, który i modlitwy z nią mógł odmawiać, i trefne pogadanki z dowcipem wiódł, a staruszcze pochlebiał, pod niebiosaję wynosząc, i z piękności nawet sławiąc, wielce sobie ujął królowę.

Pamiętała o nim, i gdy przybiegł do Budy z wieścią o śmierci brata jej, łatwo mu było słówkiem pokornem kanclerstwo sobie u staruszki zapewnić.

Domyślano się już naówczas, że Ludwik, sam Polsce niechętny, mieszkać w niej nie chcąc i nie mogąc, spuści matce rządy państwa. Z kanclerstwa u królowej prosta była droga do infuły.

Zawisza przypiął się do sukni Elżbiety i stał jej sługą. Ojciec i brat przyklasnęli. Przez Zawiszę oni dostali się do starej matki, a przez nią do młodego króla.

I teraz już Różyce spoglądali z góry na drugich, wiedząc, że mieli przyszłość przed sobą.

II.

Gdy ludzie dojrżeli, że się Różycom wiedzie, choć około wojewody nigdy pusto nie było, posypali się doń tłumnie. Dobry to był znak. Dobiesław ręce zacierał.

Wiedziano tego dnia na pewno, że Ludwik w Polsce miejsca nie zagrzeje. a komukolwiek bądź ją zda, byle ciężar z bark zrzucił.

Matka mu się napierała, mówiono, zostać w Krakowie. Tu jej swobodniej było, bo sama królować mogła, gdy w Budzie drnga Elżbieta młoda stała obok. W Polsce przypominała sobie lata młode; ojca, matkę, brata... a i na przyjaciółach starszycie nie zbywało, którzy szeptali jej, aby Polskę uszczęśliwiła i sama nią rządziła, gdy ona właściwie na nią spadała pierw, niż na syna przekazaną być miała.

Nęcił Elżbietę i piękny zamek krakowski,

nowo przez Kaźmirza wspaniale zmurowany i przyozdobiony.

Spodziewali się więc Różyce z panią swą na nim rej wodzić.

Wieczorem dworzec wojewody pełen był, choć miejsca na nim nie brakło i dla tłumnego zebrania.

Jak znaczniejsza część ówczesnych domostw, Dobiesławowy dom z drzewa zbudowany, obszerny, zewnątrz się nie wydawał, czem był.

Izby duże nie odznaczały się też niczem, gdy wojewoda ich nie zamieszkiwał. Sprzęt w nich tak był prosty, jak u najmniejszego z ziemian.

Lecz wszystko to przeistaczało się, gdy tylko wojewoda do dworu swojego zajechał, a drzwi jego miał ludziom otworzyć.

Nagie ściany obwieszano wspaniałemi oponami, ławy okrywały poduszki i sukna, podłogi zalegały kobierce, stoły zawieszano szytymi obrusami, police nappełniły srebra i naczynia drogie. Szopa się na pałac, jakby czarodziejską różczką, zamieniała.

Tak samo puste komory i zastygłe kuchnie, gdy pan przybył, zasypywano, zarzucano zapasami, i od rana do nocy uczta trwała pod dobrą ochotą.

Syn Krzesław gospodarzył tu z ojcem wraz, a tak się oba rozumieli, iż jako jeden człek, bez słowa i namowy, czynili w myśl swą zgodnie.

Zawisza mieszkał osobno, jako duchowny, a teraz więcej przy starej królowej przesiadywał dworując, niż u ojca. Przecież dzień żaden nie upłynął, aby się tu z wesołą swą, piękną twarzą nie pokazał i nowinki jakiej nie przyniósł.

W wielkiej izbie pod wieczór gwarно było i niemało dostojnych się ludzi zebrało.

Nie licząc pomniejszych, oprócz wojewody gospodarza i dwu synów jego, u małego stoła z osobna zasiadali Przedysław z Gołuchowa, wojewoda kaliski, który jeszcze za Kaźmirza wielkorządy w Wielkiej Polsce sprawował i dotąd je dzierżył, Jaszko Kmita, Pełko Zambra, sędzia sandomirski, Wilczek z Naborowa krakowski i małego wzrostu księżyna, Jan Radlica, który naówczas już jako lekarz uczony słynął.

Ci, co znali otaczających wojewodę, łącznie dojrzeć mogli, iż w kółku tym niemal sam jeden Przedysław z Gołuchowa był, który więcej do starego dworu, niż do nowego należał.

Sędziowie obaj już, jak mówiono, ujęci, mieli przeciw testamentowi króla nieboszczyka wyrokować, ks. Jan też około starej królowej z medycyną swą chadzał, choć ona jej nie wiele zdawała się potrzebować, cudowną wodą jakąś, którą się codzień obmywała, utrzymując świeżość płci i zdrowie.

Dla pana Przedysława z Gołuchowa, któremu, jako Kaźmirzowemu słudze, niespełna dowierzano,

powściągliwie prowadzono o sprawach bieżących rozmowę, oczyma sobie dając znaki.

Opodał nieco od stołu, rycersko a pięknie wyglądający, w sukniach z przednich tkanin, w pół zbroi szmelcowanej, stał urodziwy bardzo mężczyzna.

Był to Otto z Pilecy.

Ten i dla urody, i dla gładkości obyczajów, a umiejętności przypodobania się, już był też na dworze starej królowej widziany dobrze i należał do tych, których jako przyszłych ulubieńców wytykano.

— Cóż tedy! — mówił powolnie, oczyma mierząc otaczających Wielkorządea poznański — król się nam obiecał do Gniezna?.. Trzeba go nam tam koniecznie. Nasi Wielkopolanie zazdrośni są, żeście nam korony z Gniezna zabrali i starą stolicę poniewieracie. Niechbyśmy go choć u grobu Mieszka zobaczyli.

Dobiesław uśmiechnął się.

— Po co króla trudzić? — odparł — albo to my a wy nie jedno stanowimy ciało?

Wszakci Bogorja wasz go nam wszystkim ukoronował?

Westchnął Przedysław.

— A no — rzekł — Wielkopolany nie poniewierajcie. Korona ta, coście ją sobie do Krakowa wzięli, u nas ukuta została.

Po Chrobrym ci ją macie i po Przemku naszym...

— Stare dzieje! — wtrącił ksiądz Zawisza śmiejąc się. — Bądźcie pamiętni tego, że nieboszczyk król, którego pamięć czcicie, chciał jednej Polski...

— My też jej chcemy — odparł Przedysław — aliści w jednym człeku jest rąk dwoje i oczu dwoje, tak i u nas.

— Cóżby to było? — przerwał Dobiesław żywo, a noby nowy król, gwoli różnym ziemiom, każdej z osobna chyba koronować się musiał, i jak było jedenaście na pogrzebie chorągwi, tak byście go jedenaście razy namaszczać musieli?

Śmiech się rozległ do koła, a Przedysław namarszczył nieco.

— Jużci — rzekł — Kujawy osobno koronować go nie potrzebują, ani się o to Sieradz upomni, ale Wielkopolska, gniazdo pierwsze... piastowskie...

— Z Piastami się skończyło! — mruknął sędzia krakowski.

Gdzieś w dali ozwało się jakby westchnienie.

Otto z Pilcy słuchał milczący, a gospodarz dodał, łagodząc Wielkorządcę wielkopolskiego, który z za stołu wstawał, jakby odchodzić myślał.

— Król do was jedzie, nie frasujcie się, będziecie go mieli u siebie.

Nie chcąc drażliwej przedłużać rozmowy Przedysław za kołpak wziął i skłonił się naprzód gospodarzowi, potem do koła i ku drzwiom zmierzzał, odprowadzany grzecznie przez Różyców.

Po odejściu jego czas jakiś trwało milczenie, spoglądali po sobie wszyscy, jakby się przekonać chcieli, że teraz sami z sobą są i swobodnie mówić mogą.

— Królowi Ludwikowi będzie co czynić w nowem królestwie — westchnął Dobiesław. — Dzieciństwo wziął piękne i bogate, ale troski z niem sporo... Mazury się oderwały precz, z Rusią się będzie ciężko obronić Litwie, Brandeburgi i Sas już nas kasają...

Potrząsnął głową.

— Dodajcie i to — cicho bardzo szepnął sędzia krakowski — że choć testament i dawne pakta tron zapewniają Ludwikowi, ale djabeł nie śpi... Piastów i Piastowiczów jest dosyć i takich, co ino w nich krew królów prawych widzą, także nie mało.

— Daremna rzecz i próżny to strach — odparł żywo wojewoda. — Jużci ani Władysław Opolski, ani Każko Szczeciński, ani Mazowieccy się nie pokuszają...

— Za nikogo nie ręczę — rzekł sędzia, głowę potrząsając. — Samby może żaden się nie poważył, ale warchoły namówią. Śmiech o tem wspominać, a jabym i za Włodka Gniewkowskie-

go, co się pono zakapturzył kędyś i z mnichami śpiewa w chórze, nie ręczył.

Śmiać się w istocie drudzy zaczęli.

— Chybaby rozum stracił, ktoby go przeciw panu naszemu chciał prowadzić — ofuknął Otto z Piley. — Na Gniewkowie sobie rady dać nie mógł, i to księstwo, które do lada worka schować można, porzucił, a co mu o koronie myśleć?

— Tak ci, tak! — rzekł szydersko sędzia. — Małe księstwo porzucić nie żał bo, co po niem, wielka troska? ale o ogromne królestwo warto szyi nadstawić...

— Na to — zawołał Otto z Piley — ogromne serce i prawicę mieć trzeba potężną, no, a tych właśnie wasz mnich nie miał nigdy...

Znowu zamilkli trochę, a potem ci, co u stoła siedzieli, nachyliwszy głowy ku sobie, cicho coś szeptać poczęli.

Do wojewody schodziło się ludzi różnych tyln, którzy nie wszyscy z nim trzymali i których on nie był pewien, że poufne zwierzenia musiały się szeptami od ucha przenosić do ucha.

Więcej niż kiedykolwiek po śmierci króla Kaźmirza zarysowały się dwa obozy przeciwne. Jedni, w nowem panowaniu osobistych szukając korzyści, cieszyli się z niego i starali tylko jak najlepsze ze dworem zawiązać stosunki, drudzy, jaśniej widzący, już upatrywali przyszły kraju

upadek, zawikłania i nieład, na jaki go obojętność Ludwika narazić miała.

Nie ukrywał się węgierski i dalmacki król z tem lekceważeniem spadku po wuju, a raczej po matce, brał go niechętnie, chciał z niego wyciągnąć jak największe dla siebie korzyści, ale serce jego i umysł były gdzieindziej.

Wstręt miał do Polski, śmierdziały mu polskiej szlachty kożuchy i buty; kraj ten swój miał za barbarzyński, za dziki. Rad był go, jako dziedzictwo, dla rodziny zatrzymać, ale nie chciał tu ani mieszkać, ani rządzić.

Rozpowiadano sobie pogardliwe odezwania się Ludwika i chwymano oznaki niechęci, której nie umiał, nie zadawał sobie pracy zataić.

Już za Kaźmirza poczynający kielkować antagonizm dwu głównych dzielnic, z których się Polska składała teraz, gdy energicznej, jednoczącej dłoni zabrakło, coraz dobitniej i silniej występował.

Na pogrzebie, jak tłuszc od wody, wydzielali się osobno chodząc, stając, radząc Wielkopolanie. Zbijali się w osobną gromadę, unikali Małopolanów.

Bogorję oblegano ciągle, domagając się, aby Ludwika skłonił do ponowienia koronacyi, do ukazania się choćby w ornacie koronacyjnym i majestacie całym w Gnieźnie. Król Ludwik znie-

cierpliwiony, ruszając ramionami, półgębkiem coś przyrzekał.

Bądź co bądź miał jechać do Wielkopolski, choć Węgrowie, jak on, stęsknieni za domem, żżymali się i łajali.

Goście ci, u boku Ludwika wciąż będący, straż jego i dwór składający, wcale się nie starali pozyskać serca Polaków. Dmne pany patrzali z wysoka na nich i obchodzili się z nimi, jak gdyby byli nie w odziedziczonej, lecz w zawojowanej ziemi.

Wszystko to zniechęcało coraz bardziej.

Zachwianie testamentu nieboszczyka króla, zmiana i poodbieranie legatów, obejście się z wdową po Kaźmirzu, której córki odbierała królowa Elżbieta, dzieci oddzielając od matki, oburzały wielu. Najazd nieodparty Litwy, strata Santoka, oderwanie się zupełne lennego Mazowsza, zachwiana znowu jedność państwa, smutną przepowiadały przyszłość.

Liczba niezadowolonych rosła, a duma Ludwika serce mu nie pozyskiwała.

Już dnia tego dostrzedz było można w czasie pogrzebu, wśród oznak głębokiego żalu, niemniej widoczne symptomata odrazy.

Na zamku przy żałobnym chlebie, u tego samego stołu, u którego niezapomniany król Kaźmirz tak uprzejmie przyjmował gości, przemawiał do nich tak serdecznie własną ich mową, słychać

teraz było język włoski, francuski, niemiecki, łaciński, tylko polskim się nikt nie odzywał. Na stary dwór Kaźmirzowy nikt nie patrzył, służyć mu nie dawano, podczaszy Węgrzyn opanował napoje, stolnik, komornicy z Budy przybyli zajęli miejsce Polaków, odepchniętych od sprawowania swych obowiązków.

Jedna stara królowa miała przy sobie kilku młodzieży, z tych, co w obcych krajach bywając, języki inne rozumieli, lecz i ci za Węgrami stać musieli.

We wszystkim czuć było panowanie obcych, a pamięć Kaźmirza w większym jeszcze blasku przed oczyma stawała.

Pomiędzy gośćmi wojewody Dobiesława był i ten dworzanin króla, wzrostem i postawą do niego wielce podobny, który czasu pochodzenia osobę zmarłego przedstawiał.

Zrzucił on był swe bogate szaty ze skarbca wzięte i przywdział żałobę, jak wszyscy, co do dworu nieboszczyka należeli. Zwał się Lasotą Nałęczem, a w rodzinie, w której wszyscy oczajem wieku mieli jakieś przezwiska, z młodu go wołano Mrnkiem. Pięknej urody, posępny zawsze i smutny, zachmurzony, milczący, znanym był z tego, że albo milczał, pomrukując tylko niezrozumiale, lub wybuchał z jakąś ognistą wymową straszną, która, jak ukrop, wytrysnąwszy,

nagle potem, gdy się opamiętał, ustawiała i grobowem, upartem kończyła się milczeniem.

Lasota Nałęcz na dworze Kaźmirza był jednym z podkomorzych jego, a że w Krakowie i przy królu ciągle mieszkał, matkę mając tylko jedną, tę też tu sprowadziwszy osadził.

Choć Nałęczów siła już było i w Małej Polsce, Lasota Mruk z Wielkiej Polski pochodził i tam miał dalszą rodzinę.

Wybrano go na obchód ten, jako najpodobniejszego z postawy do króla, aby nieboszczyka wystawiał. Jemu, jak jemu, zaszczyt ten może nawet był miłym, ale strwożona macierz, uważając to za złą przepowiednię, zrazu pozwolić na to nie chciała, łamała ręce, płakała i potrzeba było perswazyi wymownego Jana z Czarnkowa, podkanclerzego, przyjaciela domu, aby rozłzawiona staruszka syna puściła na pogrzeb.

Lasota też, co z początku do serca nie brał swej roli, trwogą macierzyńską został zarażony. Od chwili, gdy z kościoła wyszedł i przyłbicę długo spuszczoną podniósł, nie przemówił słowa.

Milczący tak, gdy go wojewoda Dobiesław zaprosił, poszedł doń, słuchał rozmów, nie odzywał się, posiedział, powstał tu, a gdy żwawsze gawędy poczęły na gromadki dzielić gości; nie mając tu co robić, ku drzwiom się posunął.

Był w progu już, gdy syknienie za sobą połyssał. Obejrzał się. Szedł za nim mężczyzna od

niego starszy, ogorzałej twarzy, brwi krzaczystych, ubrany żałobnie, ale pańsko. Nieznany mu był, sądził więc, że syknięcie dla innych uszu było przeznaczone i dalej iść chciał, gdy ów nieznajomy za rękę go ujął śmiało, jakby do tej poufałości miał prawo.

Mruk zaś z sobą poufale lada komu przesta-
wać nie dawał. Zdziwił się.

Trochę', jakby z pośpiechu, jękając się, nie-
znany człek począł:

— Lasota Nałęcz? Mrukiem cię zwą?

Głowy tylko ruchem zatrzymany potwierdził.

— Dobrze, żem cię ujął — rzekł, oddychając
ciężko, a czapkę na głowę nakładając i nie pu-
ściwszy Mruka nieznany pan — dość ci wiedzieć,
że i ja Nałęcz Dersław z Wielkopolski, powinie-
neś znać, jakie nas powinowactwo wiąże?

Spojrzał mu w oczy. Mruk, dotąd dosyć du-
mnie spoglądający, spokorniał widocznie, do czap-
ki rękę przyłożył.

Starszy ujął go pod rękę. Czegoś mu pilno
było i jakby gorąco w tej łaźni wojewodzińskiej,
z której wychodził.

— Idźmy kędy razem — odezwał się z ci-
cha — potrzeba mi cię, mówić o czym mamy...
a niekoniecznie dobrze, aby nas wszyscy słu-
chali i słyszeli.

Okiem pomrugnął.

Stali już w ulicy.

— Jeśli nas dwu ma być na rozmowie — odparł Mruk — możebyście do dworku mojej matki raczyli. Nie mam izb tak wspaniałych, jak pana wojewody, ale ciepły kąć się znajdzie...

— Innym czasem — rzekł żywo Dersław -- a no przedewszystkiem — tu mu bystro spojrział w oczy. — Mów mi, jako ojcu, bobym nim mógł być, szczerą prawdę.

Radeś ty z tego Ludwika i z tej starej baby, której młodzieniaszki służą? Widzi ci się, że to z tem dobrze będzie? he?

Zagadnięty Mruk, zwykle do odpowiedzi nie skory, zmarszczył się mocno i zadumał długo.

Dersław nogami tupał.

— A no! — zawołał — dobądź, co masz, z pod wątroby?

— Za żalem po nieboszczyku — począł Mruk — człek nie miał czasu pomyśleć jeszcze o czem innem. Ale, co tu się dobrego spodziewać? Obcy ludzie...

Ramionami poruszył.

Dersław, jakby mu tego dosyć było, ujął go znowu pod rękę.

— Chodź ze mną — rzekł.

Przyspieszyli kroku.

W ulicach miasta, choć wieczór nadchodził i godzina, o której zwykle bramy się zamykały, a ludzie do domów wracali, zbliżała, dla natłoku gości obcych bardzo jeszcze było ruchliwo. Snuły

się kupki podchmielonych, niepogrzebowe wyśpiewując piosenki. Tu i ówdzie krzyk niewieści, na pół ze śmiechem, wybuchał i nagle ucichał. Przez otwarte drzwi browarów biło pozapalane w nich światło i gwar z nich szedł na ulicę, tak izby jeszcze pełne były.

Pachołkowie prowadzili konie od wody; kramarze zapuszczali okiennice i zamykali ławki. Gromady mieszczan, gwarząc, stały pode drzwiami domów. Świeciło się wszędzie, ruszało żywo.

Po drodze spotkali jadących z zamku z pocztami ziemian; przeprowadzanych z latarkami przez chłopaków duchownych.

W rynku i ulicy Floryańskiej jeszcze gęściej znaleźli ludzi, a tu właśnie Lasotę Mruka Dersław prowadził.

W drodze nic prawie do siebie nie mówili, Dersław dyszał zasapany. Doszli tak wreszcie do okazałego domostwa, któremu starszy Nałęcz przyjrzał się wprzód dobrze, nim do bramy zastukał, bo ta była zawarta.

Niedobrze z miastem obeznany, obawiał się spać omylić i dopiero znaki balwierza wywieszone zobaczywszy, dwie miski mosiężne nad wroty, dobijając się począł do bramy.

Dworzec balwierza był duży, na dole zamknięte okiennice tylko prążki światła przepuszczały, na wyżkac w izbie górnej troje okiennic przysło-

niętych widać było, a w nich blask wielki i po błonach przesuwające się cienie ludzi.

Gdy wrota odparto, a oba weszli do sieni, Derśław się zatrzymał i tchnął, jakby mu powietrza w piersiach zabrakło. Położył rękę na ramieniu Mrukowi.

— Jeżeliś ty króla kochał jak należy — rzekł — no, to ci i jego korona droga i Piastów krew też... i — co posłyszysz, a o co się spytają — z tem się po ludziach nosić nie będziesz.

Mruk się zdziwił trochę.

— Dosyć mi na tem, że wy, panie ojcze, ze mną jesteście — odezwał się — pójdę po waszej myśli, jak się patrzy...

Wschodków na górkę po ciemku domacać się było niełatwo, począł Derśław wołać, jakby u siebie doma był.

— Żuczek! sam tu!

Za drugim huknięciem na górze się drzwi rozwarły, światło z nich potoczyło się ku nim, i Derśław, opierając się na Mruku, począł, sapiąc, spinać niewygodnymi wchodami na wyżki.

Powołany Żuczek, pacholik, z drzazgą w ręku, naprędce zapaloną, czekał na nich u wnijścia.

Sionka była mała naprzód, za której nieszczęlnemi drzwiami wielką wrzawę głosów słyhać było.

Kilkanaście różnych odzywało się naprzemian

i głużyło. Dersław, drzwi popchnąwszy, wszedł, prowadząc za sobą Mruka.

Izba na górze dosyć była przestronna, ale niska, tak, że roślejsi z gości, rękę dobrze podniosłszy, mogli belek dosięgnąć na pułapie. Ogień się palił na ogromnym kominie, z kilku kłód suchych nałożony.

Ludzi tu było pełno. Jedni na ławach siedzieli, drudzy o stół oparci stali, inni się przechadzali, rozprawiając żywo i głośno.

Widać było, że swoi wszyscy, nie obawiali się ni podsłuchu, ni zdrady.

Goście to byli poważni, w większej części lat już nie pierwszych, dojrzali, z odzieży mierząc ich, dostatni, z twarzy wnosząc, nawykli rozkazywać, nie słuchać. Gdy Dersław wkroczył, obejrzeli się ciekawie ku niemu i powitali, wołając: otóż i on...

Lecz przybysza zobaczywszy zamilkli.

Dersław Lasotę po ramieniu uderzył.

— Nałęcz jest — rzekł — mój pokrewny, komornik nieboszczyka, świadom tu dobrze wszystkiego, a pewnie myśli to, co i my, bo po panu płacze... On to osobę jego na pogrzebie wystawiał.

Ciekawie popatrzono na przybysza, który stał milczący. Dersław się obrócił ku niemu.

— Wszyscy my tu swoi — rzekł — ludziska dobre... Zeszliśmy się nie o swoją skórę radzić,

ale z boleścią naszą się wygadać. Słuchajże, a bądź baczny...

Żebyś zaś wiedział, kogo przed sobą masz...
Wskazywać począł.

— Stary ten, Moszczyc się zowie... ten siwy drugi, Oswald jest z Płonikowa, a oto brat Przedpełk ze Staszowa, pan Stefan ze Trłaga od jeziora, i Wyszota z Kórnika, i...

Począł liczyć innych, było ich tylu, że Mruk mało mógł spamiętać.

Na chwilę przerwany rozmowom pilno musiało być na nowo się zawiązać, bo już niektórzy się wyrywali, gdy Dersław, jakby w domu był, na Żuczka zawołał.

— W gardle mi zaschło! Napiłbym się piwa innego czasu, a no, kiedy te pany Węgry tylko wino smokeczą, już mi wstyd od nich gorszym być...

Zuczek! wina dzban...

Śmiali się niektórzy, nikt nie protestował.

— Dobra rzecz wino — ozwał się Przedpełk ze Staszowa — zwłaszcza, gdy je kto umie koreniami przyprawić i osłodzić, ale jabym się zaklął, pókim żyw, go nie kosztować, byleby tu na Węgrów nie patrzył.

— No, i ja! — rzekł, śmiejąc się, Stefan z Trłaga.

— A ja też — ośmielił się dodać Mruk, na

którego, za to oświadczenie, spojrzeli wszyscy przyjaźnie.

— Dajno pokój — chrapnął z kąta staruszek Moszczyc — jakby wina nie stało, tobyśmy mszy świętej nie mieli, a bez niej żyć nie można.

— Ba — odezwał się stary drugi z Płoni-kowa — tyle, co do mszy świętej potrzeba wina, i u nas się znajdzie. Nasadzili go Benedyktyni u nas i na Czechach!

Wtem Żuczek wniósł dzban i z pewną ostentacją na stole go postawił, a kubki wyciągać poczęto.

III.

Już z pierwszego zakroju rozmowy Mruk się domyśleć mógł łatwo, między jakimi ludźmi był i jaki tu duch powiewał.

Jak u wojewody Dobiesława, wśród Ludwinkowych i Elżbiety dworaków i ulubieńców ciasno mu było i duszno — tak tu uczuł się między swemi.

Nie sięgał on tak daleko myślami, żeby aż możliwość pozbycia się Węgrów przypuszczał, ale mu z nimi źle było i srom czuł, że oni tu panować przychodzili, i żał mu było, że już skarbiec królewski dostał się w ich ręce, a nawet mówiono, że korony z sobą do Budy wywiezie Ludwik, bojąc się, aby mu niemi innego króla nie ukoronowano, gdy zejdzie z oczów.

Przy kubkach zaraz gwarzyć poczęto.

Dersław na ławie siadł i w boki się podparł.

— Ja przy swem stoję — rzekł. — Nieboszczyk król pan był złoty, serdeczny, prawy ojciec nasz, Panie Boże mu daj chwałę wieczną, ale że w końcu pobłądził, to pewno.

Wiele uczynił dla korony tej, bo któż nad niego więcej? aliści miał ją dożywotnią w opiece, i nią, jak suknią, rozporządzać nie mógł.. Dokuczała mu siostra, aby ją synowi jej dał, nie dali spokoju, osaczali, męczyli, puścił ją na Węgry...

Ależ nie on ostatnim Piastem był, a korona to Piastowska... Łoktkowe państwo nie było... Piastów było... Toćbym wolał Mazura na pana, choć szepleni, wolałbym którego ze Ślązaków, wolałbym Każka, wnnka nieboszczyka, którego on sam wychował, wolał Władysława Opolczyka, niż tego Węgra, Francuza, któremu my śmierzdim i on nam...

— O! o! o! — odezwał się ktoś z kąta głosem grubym — tylko nie Opolczyka, Niemiec jest, choć Piast, Niemiec, jak Szlązcy... Już się to przekabaciło zupełnie...

— Pan rozumny — wtrącił ktoś.

— Ale rozum ma nie nasz — rzekł Przedpełk. — Gadajcie, co chcecie, rozum nie jeden jest, co mi po niemieckim rozumie?

— Każko — przerwał stary Oswald — serdeczne chłopię, ale wątle, ja go znam. Do wszystkiego by się rwał, a przy niczem nie ustoi.

— Co tu gadać o tych Piastach — wtrącił Wyszota z Kórnika — ja wam powiem jedno. Opolczyk z Ludwikiem będzie trzymał, to jedna wiara, gdyby mu dawać koronę, nie zechce. Woli spokojne księstwo, a walka długa nie jego rzecz. Każko też byle Dobrzyń miał, tego mu dosyć i nawykł Elżbietę i Ludwika szanować...

Mazur, choćby Litwę do siebie ściągawszy, mógł się ważyć, nie zechce, boby go Krzyżakami nastraszone, a Węgryby mu Mazowsze jego plądrowali, o które stoi.

Dla mnie jeden jest tylko, coby go można wziąć i poszedłby...

Wszyscy nań spojrzeli.

— Kto? kto? — poczęli pytać.

— I Piast, i bliski, i taki człek, co nie do stracenia nie ma. Taki pójdzie najłatwiej, gdy mu lada nadzieja zaświeci.

— Któż? — zaczęto naglić.

Wyszota, dał im czekać i odgadywać, głowę tarł, nie pilno mu było odkryć, o kim myślał. Wreszcie zamruczał.

— Ano, Biały, Gniewkowski!

Dersław ręką zamachnął szeroko.

— Toć go postrzygli, mnich jest, co nam po nim! — zawołał.

— Mnich! jakby to Kaźmirz też mnichem nie był... Papież go ze ślubów zwolni dla korony.

Milczano trochę.

— Kto z was Białego lepiej znał? — mruknął, zwracając się ku starym Dersław.

— Jakbyś nie wiedział — odparł Moszczyc — zem ja u niego kasztelanem był, a Oswald (wskazał na siedzącego obok) też mu urzędował.

Nie tak ci to stare dzieje, lat parę dziesiątków... Nikt go nad nas lepiej nie zna...

Milczano słuchając, a stary Moszczyc, jakby chciał się namyślić, co dalej powie, kubka nachylił i powoli wino z niego ssał po kropelce.

— O tym Białym książątce — zaczął tymczasem Dersław — tak różne wieści chodziły, tyle o nim prawiono, że nie wiedzieć, czemu wierzyć. Z wszystkiego, com słyszał, on mi się nie wydaje lepszym od drugih.

— Ani lepszy, ani może gorszy od innych — przerwał stary Moszczyc — ale do żadnego innego niepodobny; kto wie, coby z niego było, gdyby mu siłę dać, i gdyby nad nim słońko zaświeciło. Z człowiekiem, bracie, jak z drzewem, może być kołkiem w płocie i osadą chorągwi...

Dersław głową potwierdził i uśmiechnął się.

— Tak, prawdaby to była, gdyby człowiek kłosem był, a nie bożem stworzeniem, które ma przecię wolę i rozumu trochę. Ale no, kiedy go znacie, prawcie nam, co on za jeden ten Biały, dobrze to wiedzieć na wszelki raz.

Wszyscy się obejrżeli na Moszczyca, który, splunawszy, mówić się gotował.

— To przecież wiecie — odezwał się — że dziad jego, Ziemomysł, był Łoktka rodzonym bratem, ale brat w brata nie wszyscy do siebie podobni. Siedział spokojnie na małym Gniewkowie i mało o nim słyhać było. Synów miał trzech, którzy się jego spuścizną, Bydgoszczą, Gniewkowem i Inowrocławiem podzielili, ale dwu zmarło bezdzietnych, a Kaźmirz tylko Gniewkowski dwoje, syna tego, od włosów nazwanego Białym, i córkę, którą wydali za Bośniackiego króla, zostawił. Teraz tej Elżbiety córkę, a siostrzenicę jego, wziął ten niby nasz król Ludwik.

Biały z początku na swoim dziale siedział.

— Wyście mu wówczas kasztelanowali — dodał Dersław.

— Tak ci było — uśmiechnął się Moszczyc — bo, choć księstwo niewielkie dzierżał, ale dwór mieć chciał liczny i nie gorszy, jak drudzy. Jam był kasztelanem, byli i podkomorzowie, i marszałek, i podczaszowie, i kanclerz, i wszystkie urzędy i dostojęstwa. Siostra została królową, brat też wysoko patrzył. Naturę miał dziwną... Jakby dwóch ludzi w sobie nosił. Podczas bywał spokojny, cichy, gnuśny niemal, niepragnący nic, obojętny... Robili koło niego co chcieli, słowa nie rzekł. Nagle przychodziło coś nań, jakby go owad zły pokąsał. Budził się z tego zaspania, rwał, targał, byle czem jątrzył, z całego świata nie rad był, narzekał i życie sobie zbrzydzał.

Narzucawszy się tak, nakrzyczawszy, napadło go nabożeństwo, skrucha, żal, łzy, zwątpienie, obrzydzenie świata i ludzi...

Potrwało to czas jakiś, wracał do życia, więc gotuj łowy, dostawaj psów, zbieraj ludzi; dzień i noc w lesie, aż sił zabrakło. Bywał wesół i potrzebował koło siebie ochoczych, to znowu smutny, jak noc, i w komorze się zamykał.

Na dworze jednego dnia ksiądz miał pierwsze miejsce, potem łowczy, nareszcie lada błazen, który go śmieszył. Widziałem go w takim gniewie, że oszczepem za ludźmi rzucał, to znów dobrym, choć do rany przyłożyć.

Za młodu uczył się dosyć, i mówiono, że umiał tyle, co ksiądz. Sam sobie z pargaminów czytał, lektora nie potrzebując. Po polsku mówił, po niemiecku, bodaj po łacinie i po włosku.

Wszystko było w nim, bo i twarz i postać miał piękną, tylko — statku nie było. Prawdę rzec, grała w nim wielka krew, wielka pycha, wielkie żądze, których uspokoić czem nie było. Los go, drażniąc, takim uczynił.

Gdy go ożenili wreszcie, myśleliśmy, że uspokoi się, gniazdo uściele i siedzieć na niem będzie, nie pragnąc więcej.

Żonę wziął młodziuchną, śliczną, wesolą jak dziecię, a że się oboje miłowali, zdało się, iż raj z nią przyszedł.

Włodek się zmienił, stał dobrym, i przy jej

krosnach i kądzieli ustawicznie siedział. Śpiewała mu, słuchał, opowiadała, radował się każdymu słowu, przepadał za nią...

Za próg dworu od niej odejść ni odjechać nie chciał, że go już, aby męzkich zabaw nie zapomniał, prawie wypędzać musiała.

Jak we wszystkim gwałtownym był, tak i w kochaniu tem, a myśmy tylko cicho szeptali.

— Daj Boże, aby mu się i to nie przejadło.

Księżna, jak piękna i świeża, tak bardzo wąż była. Kto wie, z czego wkrótce zaczęła bleznąć i słabiec. Przestraszony książę siał do Krakowa po mistrza Mateusza, ściągnął drugiego od Brandeburskiego księcia... Dali jej ziele jakieś pic...

Tymczasem coraz było gorzej a gorzej. Miłość męża jeszcze rosła, ona też i żyć i miłować go chciała, ano, przeciw woli Bożej ani lekarze, ni modlitwy nie pomogą...

Zwiędło nieboraczątko, jak zwarzony kwiat... umarła.

Książę, z żalu niepomiernego, prawie oszalał. Przystąpić doń, słowa rzec nie było można, przytomności zbył. Baliśmy się, aby sobie złego czego nie uczynił.

Posłano cichaczem po Alberta, księcia Strzeleckiego, ojca nieboszczki, przybył on, ale ani ten, ni żaden człowiek, mocy nad nim nie miał.

Po pogrzebie przywdział szaty żałobne, zam-

knął się, począł modlić, księżmi otoczył. Nie mu już nie było w smak, mówił, że życie zbrzydło, począł prawić, że dla niego tylko klasztor został i cela mnisza.

My, cośmy go z dawna znali, wiedzieliśmy, że się to jeszcze z czasem wszystko odmienić może.

Tak się i stało.

Wszyscy żał nad nim mieli. Był mu przyjacielem zdawna, i od niego ulubionym, Bodecza, starosta w Drdzeniu, człek już nie młody, który synów kilku i jedną młodziuchną córkę miał.

Widząc go tak śmiercią żony nieszczęśliwym, począł Bodecza do niego dojeżdżać, to sam, to z synami, aby go rozerwać i pocieszyć.

Ciągnęli go z sobą, prawie gwałtem, na łowy, na turnieje różne, zapraszali do Drdzenia, gdzie czasem po dwa i trzy dni utrzymać go umieli.

Córeczka też, Bodeczanka, młode dziewczę, piękne bardzo, wychodziło doń, gdy u stołu siedzieli, posługiwała, śpiewała, szczebiotała.

Książę, choć po żonie rozpaczał, a na niewiasty ani spojrzeć nie mógł, dla wielkiej boleści wspomnienia tej, którą utracił, przecie Bodeczanki Frydy owej pieśniom się przysłuchiwał rad, płakał słuchając, mówiono, że jej pierścień darował, a ludzie szeptały, iż dziewczę się w nim więcej rozmiłowało, niż było potrzeba. Bo książę pono ani myślał o niej.

Ale że mu w Drdzeniu było lepiej niż w Gniewkowie, bo tam o swej stracie zapominał, dawał się do nich wyciągać.

Myśmy prorokowali wówczas, aby bodaj dziewczki staroście nie wziął.

Tymczasem się inaczej stało. Poszedł zatarg o lasy nadgraniczne. Chciano mu je oderznąć, aktami dowodząc, że do księztwa nie należały.

Sporu to nie było warte, bo lasu miał dosyć i na drzewo, i do łowów, a mało o to zdał się dbać. Lecz pod złą godzinę ktoś mu podszeptał, że Staszko Kiwała, sędzia kujawski, granicę samowolnie na sosnach zarębywać każe.

Książę, usłyszawszy to, rzucił się jak rażony. Konia począł wołać, oszczep pochwycił, ludziom kazano wszystkim się zbierać i na granicę.

Gdyśmy zobaczyli, jak wyruszał z podwórca, koniowi ostrogi w boki wraziwszy, prosiliśmy Pana Boga, aby sędziego gdzie nie napotkał, a właśnie Kiwała z Kaliszanami w istocie sosny znaczył i kopce sypał.

Puścił się nań, zobaczywszy go, książę, łając odrazu i bezczeszcząc. Kiwała, jak był mocen swem prawem, nie ustąpił. Odparł księciu, że on tu króla osobę na sobie ma.

A ten, nie czekając, oszczep podniosłszy, cisnął i w samą pierś go trafiwszy, w miejscu trupem położył.

Dopiero, gdy krew trysnęła, a martwy padł

i ludzie, co z nim byli, uchodzić zaczęli, ksiązę osłupiał i poznał, że źle uczynił.

Zawrócił konia, o granicę już nie dbając, i pół żyw, na siodle ledwie mogąc usiedzieć, do Gniewkowa powrócił.

Położyli go do łóżka.

Kazał księży zwołać i nieustanne msze za duszę Kiwały odprawiać.

Tymczasem do Krakowa doniesiono, co się stało, wdowa Staszka pojechała ze łzami do króla, wojewoda Kaliski zawziął się. Król pozwać kazał księcia przed się, a groźno.

Cheiał Włodek zrazu jechać, zerwał się, potem został. Dzień i noc po izbie tłukł się, sam do siebie gadając, to na ławę padłszy, to na łożę, to w kącie mruczając, to okna odsuwając, aby powietrza wpuścić, to ognia paląc.

Naostatek kapelana, który u niego kanclerzem był razem, księdza Jeremę zawoławszy, z listem go do króla Kaźmirza odprawił, nagle się uspokoiwszy. Z czem pojechał, nie wiedział nikt, bo Jeremie pod przysięgą nakazał słowem się nie zdradzić nikomu.

Dosyć prędko powrócił posłany, aż tu wieść gruchnęła, której z razu nikt wierzyć nie chciał, że ksiązę swoją dzielnicę królowi za kilka tysięcy grzywien sprzedawszy, sam rzuca na zawsze kraj i do ziemi świętej iść chce, a potem bodaj do klasztoru.

Poploch się stał, nikt wierzyć nie chciał, ano prawda była.

Natychmiast poczęto do drogi wszystko sposobić, sprzedawać ruchomości, inne ksiązę rozdawać począł, koni siła i sprzętu Bodeczy do Drdzenia posłał.

A tak mu Gniewków i nas pilno opuścić było, że najmniejsza zwłoka do szalu go drażniła i gniew wywoływała. Dzień i noc gotowano konie i ludzi, choć wiele ich z sobą nie brał, bo kosztu chciał uniknąć. Czterech młodych dworzan i mało co więcej pacholków od koni, było mu na teraz dosyć.

Suknię sobie pielgrzymią czarną, z krzyżem na piersi dał szyć. Na piersi też krzyż wziął i na hełm, i tak ołdarzywszy niektórych, drugich, jakby znać nie chcąc, w świat pociągnął. Tu się dopiero wydało, jak owa Fryda ze Drdzenia rozmiłowana w nim była, bo gdy już w podróż wyruszywszy do Bodeczy zajechał, a żegnali go, powiadali, że padła, jak nieżywa.

Ale o tem pono Biały nie wiedział, bo go inni obstąpili, a rodzina dziewczynę zakryła, sromając się tej miłości jej.

Tu Moszczyc spoczął trochę, winem usta odwilżył i po chwili westchnawszy, ciągnął dalej.

— Co się z nim potem działo, tylkośmy od ludzi wiedzieli i to nie rychło. W początku, jako w wodę był wpadł; dopiero gdy z ziemi świętej

wrócił, Kaczka Jurek, który z nim aż tam był, odprawiony do domu się przywłókł i począł rozpowiadać, ile utrapienia doznał, niewygód różnych, niebezpieczeństw, i jak, za łaską Bożą, cudem się dostał napowrót, gdy już nigdy widzieć się swoich nie spodziewał.

Książę wprost naówczas przez niemieckie ziemie, aż do na morzu zbudowanego miasta Wine-dzii dojechał, o którym Kaczka cuda opowiadał, iż tam domy w wodzie stoją, a ludzie, zamiast wozów i koni, członów używają kirem obitych. Ztąd, na statek wielki siadłszy, na morze się puścili, których burza sroga miotła długi czas, tak, że tylko śmierci już wyglądali, gdy cudem jednego złego czarownika, który na okręcie był i wszystkiego stał się przyczyną, wyrzuciwszy w morze, wnet się ono uspokoiło i na ląd dostali.

Jako potem po tej ziemi świętej o wielkim głodzie i skwarze, często garścią mąki, figami i suchemi owocami żyjąc tylko, na osłach, wielbłądach i pieszo całą pielgrzymkę odbywali, grób Zbawiciela, i kolebkę i wszystkie miejsca święte pobożnie zwiedzając, cało wyszli, choć ich rozbójnicy ścigali, i choroby z wody tamtejszej i upałów trapiły, ani spamiętam dziś...

Dosyć, że książę, napowrót statku dostawszy, znowu do owego miasta w morzu przybył i ztamtąd na cesarski dwór do Wiedenia ciągnął.

Kaczka powiadał, że niepewien był jeszcze, co z sobą uczyni. Jednego dnia się do klasztoru wybierał, drugiego rycerskie rzemiosło przekładał. Z księżmi obcując, ich obyczaj przybierał, trafiawszy na ludzi wojennego rzemiosła do nich się garnał. A że na dworze cesarskim tak jak powinienym był, spodziewał się tu może wielkiego losu. Zawiodły go pono nadzieje, gdyż rychło się na nim poznano, że jak serca wielkiego był, dumy znacznej, tak statku żadnego.

Przechyliła się jakoś waga ku rycerskiej sprawie.

Może też szukając, co lepszego dlań było, w krzyżackim zakonie razem i mniszy habit i orężne rzemiosło myślał znaleźć.

A że podówczas właśnie z całego świata ochotnicy się zbierali do Malborgu, na wyprawę przeciwko Litwie, posłyszeliśmy nagle, że i nasz książę tu przybywa.

Kaczka, dowiedziawszy się o nim, nie strzymał, i że go miłował bardzo, choć zobaczyć pragnąć, pociągnął do niego.

Było to właśnie jakoś po tem, gdy Kiejstut napadł na Angerburg i grodek dobył, a okolice spustoszył strasznie. Chcieli Krzyżacy odwetu, a że gości im naściagało dosyć, bo nawet z za morza z Anglii jeden znaczny przybył, puścili się na Ejragołę i Pastów, gdzie i książę był z nimi.

Wiadomo, jaka to ta wojna Litwy z Krzyża-

kami, gdzie nigdy prawie do boju nie przychodzi. Wpadnie Litwin na krzyżackie ziemie, spali, zniszczy, nabierze ludu i ujdzie; pójdą w odwet Krzyżacy toż czyniąc...

Tak i tym razem było.

Ledwie książę zwycięzko wrócił z tymi Anglikami, a może zamyślał do zakonu wstępować, bo pono się już o to z mistrzem układał, gdy wieść przysłała do Malborgu, że Kiejstut z Olgerdem i Patrykiem, mszcząc się za Ejragołę, około Ragnedy ogniem i mieczem przeszli, a pochwycwszy jednego rycerza Krzyżaka, podobno Hensla z Neuensztejnu, jako stał we zbroi, na koniu bogom swoim na ofiarę go żywcem spalili...

Dopieroż książę, gdy się o tem dowiedział, myśleć począł, że na podobną śmierć narażać się nie było rozumne dla cudzej sprawy.

Krzyżacy go też bardzo pono nie trzymali za poły, bo, oprócz książęcego imienia, mało co im z sobą mógł przynieść. I tak znowu nasz książę od Krzyżaków ruszył w świat.

— Trudno mu śnać miejsca zagrzać! — szepnął Dersław.

— A nie bardzo się temu i dziwić — dodał Moszczyc — że Krzyżaków nie pokochał. Jechał pono do Awenjonu do papieża, od niego się tam czegoś spodziewając. Tu go też nie przyjęto, jako pragnął. Znużywszy się, z namowy mnichów Cy-

stersów, do któregoś ich klasztoru udawszy się, do zakonu ich wstąpił.

— Myśmy bo słyszeli, że Benedyktynem został — odparł Dersław — choć między szarą a czarną suknią różnica nie wielka.

— A no poczekajcie — rozśmiał się Moszczyc — i do Benedyktynów trafiemy.

Drudzy milczeli, potrząsając głowami; losy te księcia, na którym nadzieje jakieś zdawano się pokładać, niebardzo się podobały tym, co mu dobrze życzyli.

— Co za dziw, że u Cystersów nie strzymał — wtrącił Przedpełk — zakon bardzo surowy, a ludzie nie względni. Przecie dla takiego, jak on, winni byli coś uczynić.

— Nie wiem, jak do tego przyszło — mruknął Moszczyc — ale pono siódmego miesiąca książe z klasztoru, w którym już pierwsze był złożył śluby, uszedł do Benedyktynów do Dyżonu, gdzie go, już nowy habit czarny przywdziewającego, napędzili Cystersi w kościele, gdy przysięgę miał składać.

Słyszałem, że się wielki spór wszczął, niemal przy ołtarzu, bo Cystersi gwałtem zbiega odbierać chcieli, a Benedyktyni go bronili.

Mnichy się skłócili, ale ci, co na swoim gruncie byli, a liczniejsi, zwyciężyli, i książe u św. Benedykta po dziś dzień pozostał.

Gdy Moszczyc dokończył, milczenie panowało długie. Derśław dziwnie głową potrząsał.

— Nie wiem — rzekł wreszcie — czy na biednego, skołatanego tylu wypadkami, zniechęconego do życia, liczyć nam co można. Mnich nie mnich, juściiby go nam papież oddał, gdyby pięknie poprosić, ale co nam po takim człowieku!

— Nie mówcie tak — gorąco wyrwał się Przedpełk ze Staszowa — właśnie człowiek, jak on, najlepszy dla nas, bo nam wszystko winien będzie. Po świecie się kręcił, prawda, miejsca nie zagrzewał, bo mu nigdzie los nie dopisał. Cóż miał czynić?

Stefan z Trłaga w tąż począł.

— Mężny jest, to wszyscy świadczą. Krew piastowska w nim. Czego więcej chcecie?

— A no — rzekł Derśław — przy krwi tej jabym i głowy chciał piastowskiej... Wiem ci, że o innego Piasta trudno, alebym już Każka wołał.

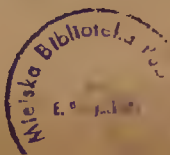
Drudzy się podnieśli i zakrzyczeli.

— Temu złote góry dawajcie, to go nie zwabicie.. Ujął go już Ludwik, jego on jest, a o koronie ani myśli...

— I nie ma drugiego krom tego — dokończył Przedpełk.

Zadumał się Derśław.

— Czasu dosyć — rzekł — dziś się to ogaduje tylko, a stanowić zawczasie. Na Ludwika się porwać z lada kim i lada czem trudno.



— Wątpię — ozwał się po raz pierwszy, ale gorąco, milezący dotąd i słuchający z uwagą Lasota Nalecz. — Wątpię ja, abyśmy z królem Ludwikiem, a on z nami do ładu przyszedł.

Pan dla Węgrów, dla Dalmatów i Włochów może taki, jakiego im potrzeba, a nam się nie zdał na nic...

Zobaczycie...

— I my tak sądzimy — zwracając się ku mówiącemu, odezwał Przedpek. — My, co nas jest Wielkopolan, tego Małopolskiego, krakowskiego króla nie chcemy.

A gdy my poczniemy, to i Małopolanie się opatrzą...

Króla nam trzeba, coby u nas mieszkał, z nami żył i nas rozumiał. Ten niechaj sobie do Włoch ciągnie, aby mu cieplej było... my innego, w kożuchu sobie wyszukamy, co mu też nasze kożuchy śmierdzieć nie będą!

Gwar się stal i śmiechy.

— Ino poczekajmy, a rozpatrzmy się — powtórzył Dersław. — Tego, czy innego, wybierzemy, a kogoś mieć musimy, i takiego, żebyśmy go już mieniać nie potrzebowali!

Poczęli tedy drudzy z miejsc powstawać, żegnąć się i wychodzić, a Lasota wkrótce sam na sam z Dersławem na górze pozostał.

IV.

Dersław Nałęcz nie był ani w swej rodzinie, ani w swej okolicy, ani w ziemi swojej człowiekiem wielkiego znaczenia.

Z ludźmi żył dobrze, słuchano go chętnie, ale mu wpływu żadnego nie przypisywano, a on sam, gdy mu kto dał poznać, że on na wpływ ten rachował, wypierał go się jak najmocniej.

Ziemiańin był zamożny i należał do szczytu rozrodzonego, który wiele w kraju znaczył; obchodziły go więcej może niż innych losy rodu i dola kraju, lecz krzątając się około obojga, zdawał się umyślnie zasłaniać drugimi. Wolał, ażeby to, co czynił, szło na karb cudzy, sławy z tego nie szukał, a może i troski, jaką ona za sobą ciągnie, chciał uniknąć.

Ci, co go bardzo blisko znali, chytrym zwali, czasem lisem śmiejąc się, a nie było to sprawie-

dliwem, gdyż Derśław fałszu ani zażywał, ani go innym przebaczał, szedł prostą drogą zawsze, nie lubił tylko zanadto się widocznym czynić dla świętego spokoju.

Mało kto wiedział, jak wiele Derśław mógł i czynił, ile myśli poddał, jak ludzi poruszyć i popychać umiał, przecież żadna sprawa ważniejsza nie obeszła się bez niego. Przyznawano ją potem komu innemu, nie upominał się, uśmiechał tylko.

Chociaż do domu i żony przywiązany, choć dzieci kochający, a już wiekiem mógłby się był tłómaczyć, że spoczynek sobie zapewnił, Derśław z nawyknienia do zabiegów i krzątania nie mógł nie zaspać.

Był szlachecki zjazd jaki, nigdy Derśława tam nie zabrakło; ruszyło się co i zakotłowało, biegł zaraz. Zawołano do Krakowa, gotów był za wsze.

Czasy to, od Przemkowych począwszy, nie mówiąc o dawniejszych, były w Wielkiej Polsce niespokojne. Za piecem siedzieć mało kto mógł, samotrzeć na gościniec wyjechać trudno się było ważyć. Po nad granicami Sasi i Brandeburezyki łotrowali, od Szląska też wpadali zbóje.

W samej Wielkopolsce od Borkowicza się ich namnożyło, brat jego i syn mścili się za umorzonego. Inni za ich przykładem puszczały się na łatwy zarobek po drogach. Obdzierano kupców

obcych, a gdy tych nie stało, rzucano się i na swoich. Poważniły się rodziny z sobą, wnet nie szukając sprawiedliwości po sądach, same ją sobie orężem zdobywały. Zajeżdżano dobra duchownym, zagarniano lasy i ziemie nieosiadłe królewskie.

Nielad coraz większy się mnożył, któremu wielkorządcy za oczyma króla podolać nie mogli.

Za Kaźmirza już, który rzadko do Wielkopolski zaglądał, Borkowicz począł burzyć umysły, jątrząc swoich ziomków przeciw Małopolanom, Krakowowi i władzy królewskiej.

Tam właśnie, gdzie dla bliskiego sąsiedztwa Krzyżaków, Brandeburgów z ich Sasami i Śląskiem, trzeba było największego ładu i czuwania, najmniej było obojga. Wielkorządca żaden sobie rady z Wielkopolany dać nie mógł. Bałamucili ich często sąsiedzi, a warchołom dobrze z tem było, gdy się zamąciło, łowili ryby w mętnej wodzie.

Panu Derśławowi, choćby był chciał spokojnie u ogniska siedzieć, czasby nie dopuścić, ale on sam do tego ochoty nie miał.

Jeszcze przed przybyciem do Krakowa na koronację przekonał się w Poznaniu, że król przyszedł Ludwik prawie wszystkich miał przeciwko sobie.

Wielkopolska daleko mocniej od Krakowian i reszty Polski stała przy krwi Piastów.

Krzyczano, że król nieboszczyk nie miał prawa, ziemią, którą dożywotnio rządził, rozporządzać.

Potem zaczęto się domagać, aby przynajmniej koronował się w Gnieźnie, aby sam mieszkał w Polsce; naostatek czasu koronacyi i pogrzebu, duma i lekceważenie doznane od węgrows, dopełniły miary. Zaczęto mówić o innym Piaście i innego sobie króla szukać.

Dersław tego tam nie wymyślił, ale kość z kości Wielkopolan, podzielał ich uczucia, a gdy raz na tę drogę weszli, kroczył i on z nimi.

Przechylała się waga na stronę tego Władysława Białego, o którym Moszczyc taką długą opowiadał historję. Niebardo on był do smaku Dersławowi, ale innego pod ręką nie mieli, więc na wszelki przypadek, trzeba było lepiej tę rzecz roztrząsnąć i bliżej poznać.

Gdy z Lasotą sam na sam pozostali, Dersław na kominie ognia poprawiwszy, pas rozwiązał; wina sobie i jemu nalał, i nogi grzejąc, począł cichą rozmowę.

— Tyś bywał na dworze, — rzekł do Lasoty, — cóż myślisz, jak nam z tym Ludwikiem będzie?.. Przypatrzyłeś mu się? co tam koło niego słyhać?

Lasocie mówić tak odrazu łatwo nie było, potrzebował, aby go podpalono. Ruszył ramionami, zamruczał coś niewyraźnego.

Dersław patrzył nań pilno; znał on ludzi, zmiarkował, że z mruka nie dobędzie słowa, chyba go po trosze za język ciągnąc i biorąc na spytki.

— Co na dworze mówią, naprzód o królewskim testamencie? strzymają go czy nie?

Lasota głową potrząsł, ale jeszcze się nie odezwał.

— Jak tam na ks. Suchywilka patrzają? — dodał Dersław.

Lasota zrobił minę dwuznaczną i jęknął.

— Muszą go szczerdzić, boć znaczenie ma, ale nie lubią go...

Dersław ręce zatarł, znać go to pocieszyło.

— Niech testament pokruszą, — rzekł, — tem ci lepiej, król sobie nieprzyjaciół przysporzy.

Pomyślał chwilę i westchnął, a zwracając się do Lasoty, dodał.

— Tylko że to u nas, po staremu, na języku dużo... Ludzie się wykrzyczą, nałają, naburzą, warchołom król nadaniami gęby pozamyka, nie zechcą się na guza narażać, i — słuchać go będą.

Zarumienił się Lasota i dopiero z niego buchnęło, aż się starszy zadziwił.

— No, chyba nie, — rzekł głośno, — chyba nie! Z tym królem my nie wytrwamy... Gdy po niego ks. biskup Floryan z ks. Janem do Budy

pojechali, choć mu koronę wieźli, której stara Elżbieta tak dla niego łaknęła, zrazu nawet na podróż do Krakowa nakłonić go było trudno. Drożył się, wymawiał, ociągał...

Matka dopiero go napędziła... i żeby nie mógł się wymawiać, sama pojechała przodem. Przyjmowali go w Sączu i Krakowie wiecie jak... jak zbawcę, jak ojca, a on — nosem na wszystko kręcił... Teraz co najrychlejby chcieli skarbiec zabrać, pieniędzy zagarnąć — i Ludwik myśli tylko, jakby co prędzej powrócił do Budy...

— A któż tu będzie rządził? — zapytał Derśław.

— Jużci stara pani, — odparł Lasota pogardliwie, — i jej młodzi ulubieńcy... Zawisza, syn Dobkowy, a i innych siła w wielkich łaskach... Babie aby się kłaniano a prawiono słodycze i zabawiano ją, na wszystko zezwoli...

Opoleczyka może na Rusi posadzą, do Wielkopolski pošlą też kogoś pewnie im milszego...

Ręką zamachnął Lasota.

— Zaznamy teraz, co to pod obcym być... — mruknął i siadł.

Derśław nic nie odpowiedział.

— A ty z sobą co myślisz? — zapytał. — Zostaniesz przy dworze, czy nie?

— Nie, — stanowczo i z pewnem oburzeniem odparł Lasota. — Ja lizilapą być nie potrafię,

a tu teraz takich potrzeba, co i kłaniać się i kłamać będą umieli.

— Cóż poczniesz?

— Ha! — zawołał Lasota, — sam spełna nie wiem. Ojcowizna szczupła, na wieś powracać mi tęskno, do ludzi nawykłem... Służby rycerskiej będę szukał i lepszego czasu czekał.

Dersław głową pokiwał.

— Słuchaj, — rzekł, — nam w Wielkiej Polsce teraz ludzi będzie siła potrzeba takich jak ty... Czas jakiś pociągnie się może spokojnie, potem zamąci się i zawichrzy... Wracaj ze mną, siedź w Poznaniu, zapisz się tam bodaj do wojewody, jaki on będzie... Zdasz się nam... Prawda, że mówny nie jesteś bardzo, ale nam pono więcej ręki niż języka będzie potrzeba.

Lasota się zadumał.

— Na dworze nieboszczyka było was Wielkopolan dosyć... nie źleby było, żebyś ich z sobą wyciągnął.

Krakowianie nam chcą panować sami, my tego nie zniesiemy, przyjdzie się z nimi rozbrać, trzeba swoich ztąd powybierać, niech nie przepadają.

I pomyślawszy trochę, dołożył Dersław.

— Ze wszystkiego widzę, że nasi bracia . na Białego rachują, i choć spróbują sobie go ściągnąć. My się od swoich odszczepić nie możemy. Niech sobie będzie i Biały, aby Wielkopoleanie

okazali, że też coś ważą.. Bodaj zawichrzyć, — będą nas potem lepiej szanować..

A na naszego Przeclawa z Gołuchowa jak tam patrzą? — zapytał stary.

Lasota był znów w usposobieniu milczącym i nie prędko na odpowiedź się zebrał.

— Koso nań patrzą, — rzekł nareszcie. — Nic nie wiem, ale mi się zda, że on niedługo na wielkorządach posiedzi.

Derśław się rozśmiał.

— Tem lepiej, — rzekł, — bo i jego nam dadzą, a jest potrzebny, i Krakowiaka nam przysła, to już miary doleją!!.. Ma być co, niechże będzie na dobre!

Wstał Derśław i ziewnął zmęczony, wyciągając się.

— Późno do kata, — rzekł, — jabym już spał, a i ty pewnie po dzisiejszej służbie wyciągnąłbyś się rad. Do zamku ci nie pora iść, a tam też węgry może na twojej pościeli się wyciągają każę ci tu słomy przynieść i kobierczyk zasłać.

Stało się, jak gospodarz chciał, i po kubku jeszcze na sen dopiwszy, legli oba.

Nazajutrz, nim się Derśław zbudził i chrapał jeszcze w najlepsze, Lasota się zerwał już z łoża swego, na palcach wyszedł i na zamek pociągnął. Stary jakby wyprorokował, bo gdy do swej izby spieszył, pacholę w sieniach w starą oponczę uwinięte, śpiące u drzwi, przebudziwszy

się oznajmiło mu, że węgry podpiwszy, nade-
dnem drzwi u niego wylamali, i — gwałtem do
izby wpadłszy, spali.

Było ich, jak mówił, trzech, więc Lasota sam
bójki z napastnikami zuchwałymi rozpoczynać nie
myślał, a że się już we dworze ruszano, poszedł
do marszałka węgrodów królewskich na skargę.

Z tym, który już nad polewką gorącą sie-
dział, i rozmówić się było trudno. Zamiast w po-
moc przyjść wypartemu z własnego mieszkania,
począł go łajać jeszcze za niegościnnosć i odgra-
żać się.

Z niczem więc odszedłszy Lasota, musiał swo-
ich zebrać kilku, chłopów co najtęższych, a ta-
kich, którym już węgrowie dokuczyl, i z nimi
dopiero do izby swej wpadłszy, przebudzonych
i do oręża się porywających węgrodów precz wy-
rzucili.

Nie odbyło się to bez wrzasku i bójki, bez
krzyków, na które więcej jeszcze węgrodów w po-
moc swoim nadbiegło.

Poczęli też i Polacy zewsząd pospieszać, ra-
dzi, iż zuchwałych przetrzepią, i byłoby krwawo
zajście się skończyło, gdyby starszy nad węg-
rami nie przypadł i zmiarkowawszy, że bójka
w końcu na niekorzyść ich wypaść może, swoich
z sobą gwałtem nie zabrał.

Lasocie już po tem zajściu nie było się co
dłużej trzymać na zamku, gdzie się więcej nie

oprócz pomsty nie spodziewał; natychmiast więc co miał, ściągać począł, konie swe przyprowadzić kazał, i juki na nie kłaść, aby z zamku precz iść.

Inni to postrzegłszy, starzy dworzanie Kaźmierzowi, także na gwałt rzucili się z zamku wynosić.

Stała się wrzawa znaczna, i co spało jeszcze o tej porze, pobudziło się. Węgierski dwór, zobaczywszy Polaków hurmem skupionych i zabierających się gromadnie zamek opuszczać, pomiar kowali, że z tego nic dobrego nie urośnie.

Ten i ów ze starszyzny węgierskiej przyszedł badać i namawiać do zgody, ale słuchać ich nie chciano.

Musieli tedy uciec się do pośrednictwa jakiegoś węgry, i posłano po Krzesława Rożyca, syna Dobkowego, aby im w pomoc przybywał.

Zdyszany nadbiegł on, i gdy mu oznajmiono, o co szło, pospieszył do dworzan o przyczynę pytając.

Lasota nawet odpowiadać nie chciał, ale na jego miejsce, dobrze wyprawną mający gębę, Pełka Sreniawczyk, zwany Pokrzywką, wystąpił.

— Dla nas tu miejsca bo na zamku nie ma, — zawołał. — Wolimy my sami opuścić go, niż czekać, aby nas wyżeniono... Panom węgrom ciasno, muszą się szeroko rozłożyć...

Wywalili drzwi Lasocie i rozgościli się u niego nieproszeni, jutro mnie to uczynią. U ks. Jana z Czarukowa, gdyby nie żelazne drzwi, toż samoby było, bo się dobijali... Wczas trzeba, co kto ma, zabierać, bo i kaptura ztąd jutro nie wyniesiemy.

Inni pokrzykując, potakiwali Pelce, tak, że Krzesław nie wiedział już, co im rzec.

— Pamiętajcie ino, — odezwał się, — że sobie tem łaski króla nie zaskarbicie, a przecie jej potrzebujecie.

Lasota dopiero zawołał w gniewie.

— Jako żywo!

Zmieszał się Krzesław.

— Skarżyć było potrzeba, gdy się krzywda stała.

— Aby nam nałajano! — zawarczał Lasota.

I tak Krzesław to groźbami, to prośbami na-próżno usiłując tumult powstrzymać, nie wskórał nic. Wszyscy, co z Lasotą trzymali, konie swe obładowawszy, natychmiast z zamku na miasto ruszyli.

Niektórzy bojaźliwsi odłożyli to, ociągając się.

Dano znać królowi pono, który ramionami poruszył, uśmiechnął się i zdawał mało dbać o to.

A że i stara królowa plotki wszelkie lubiła o wszystkim chcąc być zaraz uwiadomiona, Za

wisza nadbiegłszy za bratem, z doniesieniem pospieszył do niej.

Trochę więcej wzięła to z początku do serca, ale nie poradziła nic, a po godzinie zapomniała co zaszło.

Królewski dwór tegoż dnia już czynił przygotowania do podróży, bo Ludwikowi pilno było wielce zbyć się wycieczki do Gniezua i Wielkopolski, dokąd go ks. arcybiskup Bogorya ciągnął. Węgry więc nie mieli czasu dokazywać i dzień ten upłynął jakoś spokojnie.

Wieczorem, jak zwykle, królowa stara zabawiła się.

Słychać było muzykę, widać po cieniach w oknach płasających, a śmiechy aż na podwórce dolatywały. Król tam u matki nie bawił długo, drndzy, szczególnież ci, co się przyszłej pani w łaski zapisać chcieli, dosiadali, póki śpiewać kazała i słuchała pochlebców.

Ze starego dworu nieboszczyka mało kto tam był, lecz nowych ludzi, dawniej mniej znanych, zbiegło się dosyć, i na Polakach nie zbywało.

Tu już można było zgadnąć, kto w przyszłości pójdzie w górę, a kto w niełaszkę popadnie. Tych, co się garnęli do starej pani, przyjmowała bardzo wdzięcznie. Wesolością i pochlebstwem, a piękną powierzchownością ująć ją było łatwo. Młodzież też po większej części ją otaczała.

Gdy się to działo na zamku, Lasota precz odjechawszy, gospodę sobie zajął u znajomego mieszczanina na Grodzkiej ulicy, przeodział się i szedł do Derśława, bo teraz już nie miał co innego do czynienia, tylko swoich się trzymać.

Zastał go nad misą, zajądającego co mu doma uwarzono.

Zobaczywszy Lasotę, Derśław, który już o rannej przygodzie wiedział, bo się to po mieście rozniosło, przywitał go.

— A co? Węgry górą...

— Do czasu, — rzekł Lasota, — jam z zamku się wyniósł.

— No, i ze mną do Poznania?

— Jak każecie, ojcie.

— Masz rozum, — odparł Derśław. — Dobądź łyżki z za pasa, bo jużci bez niej nie chodzisz, kromkę chleba sobie odkrój i jedz, co Bóg dał. Stanie dla dwóch, bo na czterech gotowano.

Lasota nie dając się prosić, przysiadł się do misy jak należało.

— Król bodaj jutro do Gniezna z arcybiskupem jedzie, — rzekł, — wozy już gotują.

— O! o! — zawołał Derśław przestając jeść, — a nie wiecie, czy i korony z sobą wiozą? Ludziomby wielu gębę zamknął, gdyby się dał w Gnieźnie ukoronować...

— Chyba to nie może być, — odczwał się Lasota. — Słyszałem po dworze, iż królowi ta

dwoista koronacya śmieszna się widzi. Ale do grobu św. Wojciecha pokłonić się pojedzie.

— Hm, — rzekł Dersław, — nam też tam potrzeba być, żebyśmy widzieli, jak się to odbędzie.

Co mamy za królem gonić, lepiej go wyprzedzić. Ja już tu robić co nie mam.

Pan Przedysław z Gołuchowa też dziś rusza przodem... Gotówes z końmi?

— Jam zawsze gotów, — rzekł Lasota, — nie mnie tu nie trzyma.

— Ba! — rozśmiał się stary, który żartować czasem lubił, — nie masz to żadnej nieszczeki, z którąbyś na cztery oczy się chciał pożegnać?

Ruszył ramionami Lasota.

— Już mi to nie w głowie! — odparł.

— A kędyż poszło? — zagadnął stary, i nie czekając odpowiedzi, otarł nsta, przeżegnał się, a na chłopca począł wołać.

— Sakwy wiązać — w drogę! słyszysz niezdaro... za godzinę na gościńcu być musimy.

Zwrócił się do Lasoty, pasa popuszczonego ściągając.

— I was za godzinę czekam, — rzekł, czapkę biorąc, — a teraz trzeba po swoich pójść i dać hasło: Wielkopolany w drogę!..

Tegoż dnia, z przymrozkiem, który od południa zaczął brać, przy wypogodzonem niebie, co było Wielkopolan, którzy się kupy trzymali, ruszać zaczęło z Krakowa.

Wojewoda kaliski wyprzedzał ich i króla. Szły wozy arcybiskupa i ks. Suchywilka; jechali też i Nałęcz gromadnie.

Spieszyło się Derśławowi i bardzo, ale nie zawsze człowiekowi idzie po myśli, tak i jemu w tym razie. Zmęczył się niemało w Krakowie, a może i co niezdrowego zjadł po drodze w gospodzie, dosyć, że drugiego dnia dla wielkich boleści, dalej nie mogąc ciągnąć, w lichej karczynie na gościńcu obległ. Lasota też przy nim pozostał, bo inni pędzili do Gniezna i Poznania, którym pilniej było.

I stało się tak, że co Derśław miał króla wyprzedzić, to teraz ledwie się go spodziewał napędzić. Nie tyle mu szło o chorobę i cierpienie, bo, choć się kulił z bólu, lekcewżył go sobie, nie nowiną mu to było, ale na to utyskiwał, iż wszystkiego świadkiem nie będzie i z drugimi w kole nie stanie.

Na gwałt zaś ruszyć nie było sposobu, bo na koniu usiedzieć nie mógł.

Gospoda, w której obległ, oddalona od wioski, samotna, tak przypadała, iż w niej orszakowi królewskiemu spoczynek był naznaczony, o czym Derśław nie wiedział, ani Lasota.

Rozłożyli się w niej jak u siebie, gdy węgrowie królewscy, co poprzedzali pana, nadbiegli.

Jednemu z nich koń w drodze nogę zwicznął. Napatrzywszy w stajni deresza, co pod Derśła-

wem chodził, nie pytając czyj był nawet, węgier go zaraz pochwycił.

Lndzie Lasoty i Dersławowi rzucili się odbierać. Węgry do mieczów, a była ich siła większa, tak, że kilku z czeladzi porabali, i nim Lasota wybiegł, nietylko konia z siedzeniem, lecz opon nachwytawszy, beczulkę z winem i srebrny kubek, na gościniec uskoczyli.

Ani dogadać się z nimi nie było sposobu, ani ch przemódz, bo we dwójnasób tyle mieli rąk, co Nałęczowie.

Stanowniczy Polak, napity i bezprzytomny, choć się do niego Lasota czepiał, nic nie umiał poradzić, kłął tylko.

— Co ty z tymi madziarami myślisz się zdzierać! — wołał do Lasoty, — dziękuj Bogu, gdy ci głowy z karku nie zdejmą... O konia się będziesz upominał? Patrz, żebyś go krwią jeszcze nie dopłacił...

Węgry ze śmiechem i urąganiem pojechali, i na tem się skończyło.

Dopieroż chorego Dersława widzieć trzeba było, gdy mu dano znać, że jego ulubiony deresz, który miał nogi osobliwe, a mimo to niósł jak w kołysce, przepadł. Pięści obie ścisnął, zęby zaciął, klnął i, wnet pomiarkowawszy się, rzekł przeżegnawszy.

— Ziemianinowi konia wziąć, co znaczy, ten

tylko wie, kto miał wierzchowego, a kochał go, jak... dziecko swe.

Tę tylko miał Dersław korzyść ze straty, że co chorym był, z gniewu i poruszenia, zamiast mocniej zapaść, odrazu pozdrowiał. Konia od pacholka wzięwszy, natychmiast ruszył dalej.

Ciągnęli tedy za królem już, który pospieszenie do Gniezna dążył, a po drodze napatrzeć się mogli i nasłuchać, co Węgry dokazywały w pochodzie. Kędy przeszli, nie pozostał po nich ani stóg siana cały, ani chata i domostwo, w którymby na ich gospodarstwo, gwałty i zabory nie narzekano.

Rosła ztąd wielce niechęć do króla, już i tak nielubionego, a że przy nim stanowniczowie i urzędnicy Małopolańscy byli, którzy na zbytki patrzyli, nie nie radząc, ani zapobiegając, i na nich burzyli się ludzie.

I, coby ta podróż Ludwikowa miała mu serca pozyskać, więcej ich jeszcze podrażniła.

Gdyby kmieci tylko tak uciskali, którzy dawne czasy na prawie polskiem, podwoły, przewód i pogonię pamiętali, nie tyleby to raziło, lecz — dostawało się i ziemiańskim dworom, i rycerstwu, i duchownym, bo madzary nikogo nie poszanowali.

Więc lamenty rozwodzono srogie, a Dersław słuchając ich, to się gniewał, to radował, bo my-

ślał, iż stronę króla mało kto tu teraz trzymać będzie.

Nie jadąc w ślad za Ludwikiem do Gniezna, Nałęczowie w Poznaniu się zatrzymali, gdzie jedni przygotowania czynili do przyjęcia króla; a drudzy się z nich na ową mniemaną do Gniezna koronację wybierali, bo byli i tacy, co w nią wierzyli.

Wiedziano, iż z rozkazu arcybiskupa tron w gnieźnieńskim kościele złotogłowem i purpurą okryty, był przygotowany. Wieść chodziła, że koronę Chrobrego Ludwik z sobą przywiezie z Krakowa.

Tymczasem zawiodły nadzieje. Mimo nalegań arcybiskupa, który żądał, aby król w ornacie koronacyjnym uroczystym zasiadł na tronie, Ludwik z uśmiechem mu odpowiedział, iż tego nie uczyni, boby koronację swą pierwszą w wątpliwość podał.

W zwyczajnem ubraniu znajdował się Ludwik na nabożeństwie w katedrze u grobu św. Wojciecha, złożył przy nim ofiarę skromną, i krótko zabawiwszy u Bogoryi, natychmiast do Poznania wyruszył.

Wielkopolscy ziemianie, już zrażeni tem, że ich żądania lekceważono w stolicy ziemi swej, nie zbyt licznie, ani tak ochoczo przyjęli króla, jak się spodziewał.

Wszędzie też bawił, jak najkrócej mógł, wi-

docznie się spiesząc, mało komu łaskawsze okazując oblicze, zbywając się ludzi z niechęcią i obojętnością.

Zostawiły więc po sobie odwiedziny królewskie zaród wzajemnej urazy i można było przewidywać, że między panującym a Wielkopolską rozbrat coraz większy nastąpić musi.

Przedysław z Gołuchowa, który lepszego się spodziewał, ośmielił się królowi powiedzieć, co myśleli wszyscy i chciał go skłonić, aby łaskawszym okazał się dla Wielkopolski — lecz Ludwik ramionami poruszył i prawie go nie słuchał.

Węgrowie zaś otaczający, którym wszystkiego zawsze za mało było, na Przedysława i Wielkopolan krzyczeli jeszcze i na kraj wydziwiali.

Dersław tego wszystkiego wysłuchawszy i natrzymawszy się, po kilku dniach Lasotę z sobą zabrał i do domu do Wielkiej Wsi wyruszył.

V.

W Wielkiej Wsi Derśławowej, lasami dokoła otoczonej, a ponad jeziorem rybnem osiadłej, pókój panował szczęśliwy, który ona winna była temu, że ją samo położenie broniło. Szlaki uczęszczane zdala szły od niej, otaczające puszcze mokre dostęp trudnym czyniły; i nawet czasu rozruchów i najazdów, które się w Wielkopolsce zagnieżdżyły, Wielka Wieś bezpieczna była. Nie lada też kupą ważyć się na nią mógł napastnik, bo sióło było ludne, ludność zaś mężna i takiego ducha, że jej ku obronie wołać nie było potrzeba. Dwa czy trzy przysiółki, Wolka Złota, Wólka Nabrzeźna i Koleśnicy, tak dokoła były rozłożone, że uchowaj Boże najazdu, stały na straży, minąć ich nie mógł nikt, a ludzie znanemi ścieżynami zaraz mogli znać dać i na gwałt uderzyć.

W ostatecznym razie stare grodzisko obszerne, wałem osypane, bronić się mogło i zawrzeć w sobie niemało ludzi.

Na grodzisku stał i kościółek pod jego obroną i szop siła było, do których się schronić z dobytkiem mogli wieśniacy.

Dersław mieszkał w domu starym, poprawionym i przybudowanym, który bardzo dziwnie wyglądał, jak czasem grzyby na drzewie, gdy w kupę urosną ściśnięte. Dachów, daszków, sieni, przejść, podsieni różnych, wyżek, ścian nierównych wyższych i niższych, okien małych i wielkich, sterczących dymników, nie naliczyć tam było. Do niektórych mieszkań dostawało się po drabinach, do innych trudno było zgadnąć kędy ludzie włązili. Z jednej strony stara i już rozeschła, a świecąca szparami przyparta była wieża drewniana, która pono jeszcze za jakiejś wojny i niebezpieczeństwa wzniesiona została, a teraz w niej baby mokre chusty wieszały, gdy słońce było na dworze.

Na takich wygodach, jakich owe czasy wymagały, nie zbywało tu. Był i ład w domu, lecz dla oka nikt starej kleci przybierać nie myślał.

Poczerniała od deszczów, okopconą od dymów, gdzieniegdzie w ziemię zapadająca, ze ścianami skoszonymi i popodpieranymi, jużby może nowemu pokąźniejszemu domostwu miejsca musiała ustąpić, gdyby Dersław, który ją taką po ojcu

wział, a bardzo był do niej przywiązany, nie obronił i nie uchwalił. Syn jego, Wierusz, gwałtem chciał nowy dwór stawić, Dersław się uparł i na tem stanął, póki on żyw i dom stać będzie, ani go da palcem technąć. Wierusz, który gospodarował ojcu i zastępował go, musiał się do woli tej zastosować.

Jak ten dom, tak i mienie Dersławowe, nie narzucało się oczom. Dostatek był wszędzie, który nikogo zazdrosnym nie mógł uczynić. Po komorach i zakomórkach pełno było wszystkiego, ale o tem mało kto wiedział.

Dersławowa żona Jagna, która też z Nałęczów domu była, niewiasta spokojna, jako cień chodziła za mężem, który do niej przywiązany był, powolny dla niej, ale swą powagę czasem czuć dawał, trzymając, iż niewiastom rządzić i prowadzić się dawać nie należało.

Oprócz syna Wierusza, mieli córkę Dersławowię, zwaną Piotruszą, dziewczę, które się w matkę wdało, ciche było, łagodne, a skromne.

Może dla tego, że ani ona się ze swą pięknoscią pochlubić nie umiała, ani ojciec z dostatkiem; Piotrusza już dwadzieścia lat liczyła, a nikt się o nią nie starał i w domu siedziała.

Wiedziała o niej młodzież, ale młodym blask i rozgłos milsze nad wszystko; a Piotrusza nie słynęła niczem, tylko tem, że matce była prawą ręką, a ojcu dzieckiem najmilszem.

Dersławowi i Jagnie pozbyć się córki z domucale nie było pilno. Wierusz też, że żonaty nie był, siostrę w domu rad widział.

Gdy stary Nałęcz do Wielkiej Wsi z sobą Lasotę zabierał, może mu na myśl to przyszło, że córce męża prowadzi — może niekoniecznie rad był ją zaswatać niemajątnemu i na dworactwie nawykłemu do lepszego życia powinowatemu — lecz potrzebował go, nie miał gdzie osadzić, i mimo obawy, wioził z sobą.

Po drodze tylko w rozmowie przebaknął stary, że dla córki ma już upatrzonego człeka, aby Lasota bardzo się do niej nie zbliżał.

A chociaż tak nie było, z kłamstwa się rozgrzeszył ojciec dla bezpieczeństwa dziecka swego. Słyszał bo dwór Kaźmirzów, jak pan jego, ze swawolnego obyczaju... Lecz Lasota młodzieńcze szaleństwa już był za sobą i o niewiastach myślał mało, teraz zaś o sobie musiał, bo nie wiedział jeszcze co pocnie.

Do Wielkiej Wsi przybywszy, stary się zaraz zajął z synem pomieszczeniem Lasoty. Dano mu izbę osobną, która od tyłów wnijście miała, sien własną i komory, stajnię dla koni, pomieszkaniem dla służby — i Wierusz, który podobny był do ojca, przyjął go jak brata.

Rad był temu towarzyszowi, który mógł mu o dworze i o krajach, jakie z Kaźmirzem zwie-

dzał, albo do których przez niego posyłanym był z innymi, opowiadać.

Nawykłemu do życia na Wawelu, gdzie zawsze bywało gwarno i tłumno, z kąd też trzy kroki tylko było do ożywionego miasa, Lasota Wielką Wieś znajdował pustą i głuchą, lecz miło mu tu było wypocząć i młode lata na wsi spędzone sobie przypomnąć.

Derśław zaś ciągle mu powtarzał, że go tu nie uwięzi na wieki, i że będzie miał co do czynienia...

Oprócz starego gospodarza, jego syna, żony i córki, a proboszcza, który na grodzisku mieszkał i gościem był codziennym, mało tu kogo widywano. Przecież różne wiadomości ze świata, od Poznania i Gnieźna nadlatywały. Zawadzali ziemianie o Wielką Wieś, bywali księża u proboszcza, kmiecie z wsi i lasów sąsiednich także czasem plotkę przynieśli.

Postrzegł wprędce Lasota, jakie usposobienie było w kraju, bo wszystko, cokolwiek tu przyszło, co powtarzano, świadczyło o niechęci do Małopolan i króla. Takie tylko wieści powtarzano chętnie, które im dogadzały...

Dowiedzieli się tu wprędce, że Przedysław z Gołuchowa, który miał wielkorządy, już został podkopany i na jego miejsce Krakowianina obierano, co ogromnie umysły wzburzało.

— Niech spróbują nam tu nasłać obcego —

mówił Dersław — a zobaczą, czy długo u nas wytrzyma! Wykurzymy go... choćby najlepszym był, bo w swej ziemi cudzym ludziom rządzić nie damy. Wielkopolan dosyć jest, i z nich człeka wybrać powinni...

Innego dnia przyszła wiadomość, iż król Ludwik, korony zabrawszy z sobą, do Budy odjechał, a starą matkę swą na Krakowie zostawił. Ta zaś jak rządziła — nie mówiło. Śmiano się i ramionami poruszano...

Domyślał się każdy łatwo, że nie jej rządy, ale gładkich ulubieńców nastąpić muszą...

Kilka razy stary po język się wymykał to do Poznania, to do Gniezna, to do sąsiadów, którzy nad gośćmi siedzieli. Jednego zimowego wieczora gość się też zjawił.

Był to duchowny, lat średnich mężczyzna, w którym potomka rodu rycerskiego na pierwsze wejście widać było, bo ramiona i piersi do zbroi miał raczej, niż pod rewerendę stworzone.

Powinowaty panu Dersławowi, bo do Nałęczów rodu należał, Jan z Czarnkowa, dosyć już wysokie zajmował stanowisko, bo podkanclerski urząd piastował. Sławny był też z nauki, z prawości i nieskazitelnego życia, ale krwi goręcej, porywczy, języka niepohamowanego, więcej miał nieprzyjaciół, niż druhów.

Gdy go z sań wysiadającego Dersław zobaczył, zdziwił się wielce, bo wiedział, że na próżne wę-

drówki czasu nie miał, nie rad się z Krakowa oddalał, a dla urzędu też nie mógł.

— Ojciec mój! a was tu co do nas przyniosło? — schylając się do ręki jego rzekł Dersław. Gościem mi jesteście najmiłszym, lecz, Bóg świadek, niespodzianym.

Głosem grubym i mową gwałtowną odparł Janek z Czarnkowa.

— Ja sam, bracie mój, też się nie spodziewałem was nawiedzić... Coż chcesz? takie czasy nastały, że ci, przed którymi uciekano niegdy, dziś uciekać muszą...

Proszę was o schronienie na czas, bo mnie bodaj więzić chcą! Ale...

Dersław osłupiał.

— Żarty prawie! —

Weszli do izby.

— Ba, nie żarty — zawołał przybyły podkanclerzy — umiano tak chodzić około starej królowej, takimi okładając potwarzami, że gdyby mnie suknia duchowna nie obroniła...

Zeszli się tymczasem wszyscy: Wicrusz, Lasota, przyszła pokłonić duchownemu Dersławowa Jagna, skupili się około gościa, którego przyjmowano serdecznie.

Ten, rozjątrzony i poruszony, ledwie gniew w sobie mógł utrzymać...

Poczęły się tedy opowiadania, pytania i okrzyki podziwienia...

Janko z Czarnkowa na przemiany lament podnosił wielki i boską pomstą groził...

— Na zgubę prowadzą królestwo, na upadek i rozerwanie... Niedołężnej babie dał król rządy, obsiedli ją pochlebcy, opanowali źli ludzie, więc dla nas starych sług miejsca nie ma i nietylko precz iść potrzeba, lecz życie chronić...

— Lecz cóż oni do was mieć mogli? co zarzucić? — pochwycił Derśław.

— Zmyślili co chcieli, by się pozbyć — wołał przybyły — nie o mnie idzie, ale o podkanclerstwo, by mi je wydrzeć, a dać je Zawiszy. Cóż ich kosztuje skłamać i potwarz cisnąć?

Zadali mi, żem po śmierci króla jakieś grzywny sobie przywłaszczył, zadają, że czarownicami się posługuję, że od żyda Lewka pierścień czarodziejski podarowany noszę... Czy ja wien zresztą, co mi zarzucają? — rozśmiał się gorzko podkanclerzy.

Musiałem im z oczów zniżyć, więc póki nie spocznę nieco, u was pobędę, a potem do arcybiskupa ruszę...

Derśław ledwie uszom wierzyć chciał.

— To, co ze mną — dodał podkanclerzy — dzieje się z drugimi Przedysław ustąpić musiał.

— Komu? — podchwycił Derśław.

— Jednemu z tych, których twarz i obyczaj królowej się podobały — śmiejąc się mówił Janko. No, nie ma co się dziwić. Otto z Pilcy człowiek

rycerski, nie mu zarzucić nie można, oprócz że dworuje, gdzie nie powinien...

Otto z Pilcy! Małopolanin! — zakrzyknął Dersław — na wielkorządach w Poznaniu. Znam go, wszędzieby dobry był, ale u nas nie usiedzi... nie damy się...

Raz począwszy gość, nieprzebraną wysypał mnogość jednych nad drugie osobliwszych nowin o przemianach, które stara królowa poczyniła. Dawnych urzędników oddalano, stanowiono nowych, Rożyce ojciec i syn, z niemi ksiądz, Mikołaj z Kórniku i siła innych do królowej nikomu przystępu nie dając, swoich przyjaciół wszędzie podstawiali.

Janko z Czarnkowa malował starą, zdzieciniałą królowę z większem politowaniem, niż niechęcią, winę składając na tych, co ją okłamywali.

— Litwa napadła — mówił — to wiecie, myślicie, że wojsko przeciwko niej posłano? Dano pustoszyć aż po Łysą Górę, a doradcy starej pani nauczyli ją, ażeby posłów wyprawiała do Kunigasów litewskich i — zagroziła im potęgą swojego syna!!

Litwini się z nich naśmieli, poszło tysiące ludzi w niewolę, tysiące domostw w perzynę, a królowa cytarzysty słucha, śpiewem się lubuje, płąsom przypatruje i słodkień słów słucha. Nie takiego nam króla było potrzeba! — westchnął Jan

z Czarnkowa. Na pokaranie nasze dał nam tę piękną lalkę Pan Bóg, a serce się ściska na to, że dla nas on lalką jest, dla nas on niczem być nie chce, gdy u siebie na Węgrzech sławi się jako pan mądry, dobry i silny, więc nawet skardze naszej i boleści naszej nikt uwierzyć nie zechce...

— A my nie wierzymy — wtrącił Dersław — ażeby on gdziekolwiek mądrym być mógł i dobrym... Niechaj sobie zresztą Francuz ten Węgrom i Dalmatom i Włochom szczęśliwie panuje, a Piastowską dzielnicę Piastom odda.

Słuchając, ks. Jan podkanclerzy szeroką swą pierś wstchnął i głową trząść począł.

— Kędyż się Piasty podziały! — począł jakby sam do siebie. Gdyby nawet możność była nowego pana wybierać i szukać, gdzie my go znajdziemy? Rozprysła się ta krew na drobne kropelki, na słabe poniki, a dziś nam po wielkim panu, co tyle lat nami rządził szczęśliwie, lada karłem się obejść, lada słabemu w ręce dać władzę nie można. Zły Ludwik, bo lekceważył nas, zła Elżbieta, bo starej babie zabawki w głowie i za słabą ma rękę, aby w niej wodze utrzymała, aliści najgorsze rządy te tem dobre, że się Polsce na kawały rozlecieć nie dadzą.

Dersław aż syknął, tak go ta obrona Ludwika zabolala.

— Ojczy mój! — zawołał — wybyście mieli

na sobie ich niesprawiedliwości doświadczywszy, bronić?

— Bronię nie ich, ale całości naszej korony — rzekł Janko z Czarnkowa. Dajcie mi potężnego Piasta... ale takiego nie macie wy... na świecie go nie ma.

Dersław, choć nie rad się był zdradzać z tem, co sam i jego przyjaciele myśleli, przed poważnym duchownym, którego rozum cenił, tać się nie mógł.

— My inaczej myślimy — rzekł — przebaczenie ojciec mój, Małopolanie nas lekceważą, chcą nam prawa narzucać. Zaczęło się to za Kaźmirza, tego my nie ścierpimy. Może stać samo przez się Mazowsze, dla czegobyśmy też sobie pana nie poszukali?

Piasta znajdziemy...

— Pokażcież mi go — odpowiedział uśmiechając się podkanclerzy. Zdaje mi się, że na dworze wciąż przebywając, gdzie za nieboszczyka przewijali się i siedzieli wszyscy Piastowicze... znam ich najlepiej... Na małych udziałach zrośli i wielkiej sprawie nie podolają.

Dersław się poruszył mocno.

— Ojciec miłościwy — zawołał — czytaliście jużćie błogosławionego Kadłubka historię, bo nas wszystkich na niej w szkołach uczono... Przecież gdy do korony pierwszego Piasta wzięli ludzie, małym był i rolą a pasieką jeno się pa-

rał... jednak z pomocą Bożą wielkie państwo przez niego urosło.

Janko z Czarnkowa uśmiechnął się.

— Stary mój — rzekł — widzę, że z waści nie lada dyalektyk, a no, posłuchaj mnie. Czasy były inne, świat prosty ludzi takichże wymagał, dziś nie to co po Popielach wziąć dziedzictwo.

Dersław mruczał nieprzekonany.

— Cóżbyście mieli przeciwko Mazowieckiemu Ziemowitowi?

— Ino to — rzekł Janko, iż gdybyście wy go chcieli, on was nie zechce. Odzyskał świeżo Płock, zbył się lenności, zostawiono go w pokoju, na Ludwika się nie porwie, dość ma doma roboty...

Nie nalegał gospodarz.

— Każka Szczecińskiego sam nieboszczyk król wychował — rzekł — pan jest możny i serca wielkiego...

— Ten też się nie porwie przeciw Ludwikowi — odparł Janko — ze Słazaków rozrodzonych żaden; Władysław Opolski jak i drudzy, zwłaszcza, że mu albo Ruś, lub inna dzielnica bez trudu się dostanie...

Dersław już miał się wydać z tem, o kim myślano w niedostatku innych — i wymienić Władysława Białego, lecz pomiarkował się, głowę spuścił i zamilkł.

Janko z Czarnkowa siedział smutny. Cały tak

wieczór o różnych sprawach i ludziach mówiono i smutek się tylko ze słów sączył; nadziei polepszenia rychłego żaden z nich nie miał.

Wiedzieli wszyscy naokół, że Derśław nie chcąc niczemu przodować, nie przyznając się do kierownictwa żadnego, potajemnie najwięcej się około wielkopolskich spraw krzątał. Nie było więc dziwem, gdy we dwa dni po podkancle-rzym, w kilka koni tylko, około południa zjawił się wojewoda kaliski, Przedysław z Goluchowa, którego miano właśnie z wielkorządów wyrzucić dla Ottona z Piley.

Możny pan, mąż w sile wieku, znaczenia nie-małego pomiędzy swoimi wojewoda kaliski, choć u dworu rad był łaski nie tracić, przecież wołał trzymać ze swymi i w ogólnych sprawach od nich się nie odłączać.

Temu zapewne winien był, że śmiało się o prawa Wielkopolski upomniawszy, aby ich nie zacierano i ziemi tej nie lekceważono, u króla począł być źle widzianym i u starej królowej. A że Kaźmirzowe sługi wszystkie podejrzewano i zamieniano, jego też ten los co innych miał spotkać.

Zsiadał z konia pan wojewoda i ze śniegu się otrząsał, mając z wychodzącym gospodarzem powitać, gdy po za nim spostrzegł Janka z Czarnkowa.

Zdumiał się nieco...

— Wiecie albo nie — odezwał się nogę ze strzemiesienia dobywając — co mnie spotkało?

Derśław głową potrząsł potakująco.

— Więc i tego się dorożumiecie, po com do was przybył. Szukam dobrej rady...

Wprowadzono go uroczyście do izby... Derśław okazywał mu uszanowanie wielkie, może zbytne nawet, lecz miał zwyczaj ten, że się lubił małym czynić, czując, iż nim nie był. Więc najlepsze siedzenie naprzeciw ognia dano panu wojewodzie, który, jakby wcale nie czuł tego, iż go z wielkorządów zrzuceno i odebrano mu dostojęństwo i władzę, uśmiechał się wesoło.

— No, cóż wy na to? — odezwał się — będziemy mieli Małopolanina w Poznaniu!! Brak tego, aby mnie do Krakowa posłali z łaski swej, ale jabym tam nie pojechał... Otto z Piley godny człek, pan wielki, rycerskiego ducha; szkoda go zaprawdę, bo...

— Bo my go znać nie chcemy! — przerwał Derśław. Jeżeli jakie prawo jest, przy którym stać musimy, to te, ażeby nas obcymi ludźmi nie obsyłano... W Wielkiej Polsce tylko my do urzędów i rządów mamy prawo...

Przedysław ręce zmarzłe zagrzewał... Podano kubki na powitanie, Derśław nalewał, a nalewając szepnął.

— Trzeba nam się nie we dwu, ale w kupie naradzić, bo jest nad czem.

Spojrzeni sobie w oczy i wojewoda zmiarkował, że Janko z Czarnkowa musiał z gospodarzem nie całkiem jednej być myśli.

Porozumienie to milczące nie uszło oka podkanclerzego, który się domyślał, iż Wielkopoleanie knuli może coś takiego, do czego by mięszać się nie chciał. Wkrótce też pod pozorem, iż proboszcza nawiedzić chce, wyszedł z izby.

Sam na sam zostali z sobą wojewoda i stary Nałęcz.

— Ottona z Pilcy się zbyć, rzecz mała — rzekł Dersław otwarcie — mybyśmy radzi zbyć się i rządów starej baby i tego króla, który nas nie zna.

Przedysław nie dał po sobie poznać, by go to zbyt niu zadziwiło, co usłyszał, mileząc czekał objaśnienia.

— Panie wojewodo — odezwał się Dersław — zjechać nam się potrzeba kędyś i pomyśleć o sobie...

Wielka Wieś niedogodna... dwór u mnie szczupły, a gdyby ludzie doń ciągnąć zaczęli, wpadłoby to w oczy.

W Poznaniu królowa stara swoich ma, co nas podsłuchają i doniosą.

— Dokądże myślicie się gromadzić? — spytał wojewoda nie sprzeciwiając się.

— Na nabożeństwo do Gniezna — rzekł Dersław — każdemu człeku jechać wolno, ani to

kogo zadziwi, gdy się tam do starego arcybiskupa ziemian trochę ściągnie... Przybędziecie i wy?

— Kędy drudzy, tam i ja pewnie — odparł wojewoda. Naznaczcie dzień, ludzi słuszných zbierzcie, przyjadę i ja do Gniezna, tak jakom do was przybył... Albo Wielkopolska straci wszystkie starodawne prawa swe, lub dziś się o nie upomnieć musi...

To mówiąc, smutniej się nieco zadumał.

— Lecz co tu o prawach naszych mówić — dodał — i jak je szacować ma Ludwik, gdy dla dzieci tego króla, któremu państwo to winien, nie ma miłosierdzia i sprawiedliwym być nie chce...

Słyszeliście, że córki królowej Jadwidze odebrano, że je do Węgier zabierają, tak jak zabrano korony... i że jawnie głoszą, iż król z obawy, by o spadek po ojcu nie upomniały się kiedy, chce je ogłosić jako z nieprawego małżeństwa narodzone i nieprawe.

Dersław porwał się z siedzenia.

— Testament króla połamano! — zawołał — co za dziw, że na domiar z dziećmi się obejdą okrutnie... Świętego u nich nie ma nic... Lecz król Ludwik też czuć powinien, że się na tronie tym słabo trzyma... Syna mu Bóg nie dał, a na córki jego dziedzictwo nie spada. Zejdzie więc korona znowu do Piastów.. byleśmy zawczasu jej dziedzica opatrzyli.

Przedysław obejrzał się dokoła...

— Z siebie to mówisz? — zapytał.

— Z siebie, lecz wieln to samo powiada, jak i ja. O Piastach słyhać wszędzie... do nich nas stara powinność ciągnie...

— Milczcież do czasu — palce na ustach kładąc odezwał się wojewoda. Gdy kto chce co skutecznie dokonać, nie powinien się zdradzać zawczasu, pilniejsza dziś rzecz tak Ottona z Pilcy przyjąć w Poznanin, aby mu ochota odeszła nam się narzucać... Niech wraca dworować starej babie, razem z Zawiszą, Dobiesławem i innymi...

Nim wojewoda wyjechał z Wielkiej wsi, już Lasota ruszał z niej, opatrzony przez Dersława nauką, do których dworów zajechać ma i komu szepnąć, aby się do Gniezna gromadzono na Gromniczną...

Jankowi z Czarnkowa nie przyznali się dwaj spiskujący, co zamierzali...

VI.

Chociaż najtrudniej pono u nas było zawsze ziemianom język za zębami utrzymać, zwłaszcza gdy serce w piersiach zagrało — choć zarówno Wielko jak Małopoleanie grzeszyli tem zawsze, że tajemnicy gdyby o gardło szło, nie umieli uchować, ów zjazd na Gromniczną w Gnieźnie rozszedł się jakoś nie zdradziwszy, co na nim uradzono.

Być też mogło, iż gdzie tyle głów i tyle zdań różnych było, na nic nie umiano się zgodzić, i dlatego milczano.

Dosyć, że ziemianie, każdy w swą drogę ciągnąc, nie chwalili się z tem, co postanowili.

Choć nie razem, większa część tych, którzy w Gnieźnie obradowali, pociągnęła do Poznania.

Tu się lada chwila oznajmionego już Ottona z Piley spodziewano.

Miasto zawczasu pełnem było, jakby się na przyjęcie jego przysposabiano.

Wielkiego domu Toporezyków dziecień, na dworach cudzoziemskich i w podróżach po krajach obcych wykształcony, rycerskiej postawy i ducha, uprzejmy, miłość ludzką zaskarbiać sobie chętny, był ten Otto z Piley jakby dla pojednania dobrze z sobą zwaśnionych Wielko i Małopolan, najlepiej na oko dobranym. Tylko, że już tu, przy swem prawie stojąc, jako Krakowianina, narzuconego przez królowę, znać go nawet nie chciano.

Wprawdzie za sobą zjednane duchowieństwo miał, które za zgodą przemawiało, lecz nikt go słuchać nie myślał.

Umyślił Otto z Piley pańskim orszakiem Poznańczykom okazać, co zacz był. Wysilił się więc na poczet liczny i pięknie odziany, na konie cudne, na wozy i woźniki postrojone, na otoczenie świetne, i jak to już naówczas zwyczajem być poczynąło, wjazd swój na wielkorządy z wielką zarządził wspaniałością.

Przed nim już na zamek, dla przyjęcia ziemian przybyły knieźnie, beczki i służba mnoga. Spodziewano się, iż przez ciekawość samą, zbiegowisko będzie wielkie.

Przed miastem na konia szkarłatem obwieszonogo siadłszy, w orszaku pańskim, z uroczysto-

ścią wielką zajechał Otto z Pilcy na Przemysławowski gród.

Po drodze gawiedzi milczącej stało siła, mieszczan, żydów i okolicznych kmieci powyehodziły z domostw gromady, ziemianie tylko wcale się nie pokazali.

Na zamku były pustki.

Nie witał nikt, nie przybył nikt. Dopiero nie-rychło biskup sam z kilku kanonikami znalazł się u nowego wielkorządcy.

To przyjęcie milczące, dziwne, więcej może dumnego Toporeczyka obeszło, niż opór i jawna niechęć, gdyby mu je objawiono. Było coś pogardliwego w tem usunięciu się, które mówiło:

— Nie nasz jesteś, nie znamy cię.

Biskup starał się go pocieszyć, obiecując, iż się to wszystko, zwolna a łagodnie postępując, zmienić może.

Wielkorządca na pustym grodzie, wezwawszy do siebie tych, co z urzędu musieli mu się sta-wić, i z tych słowa nie dobył. Przybywali mil-czący, słuchali nachmurzeni, odchodzili nie nie obiecując.

Z walczącymi jawnie sprawa lepsza, z takim oporem biernym wielkiej cierpliwości potrzeba, a na tej właśnie Toporeczykowi, krwi żywej i umy-słu pańskiego, zbywało.

Z pomniejszych ludzi nie jedenby może zwró-cił się ku niemu, i w nadziei, że coś uzyska,

posłusznymby mu był, lecz, każdy się obawiał pójść przeciw swoim, wiedząc, że wielkorządcy łatwo się zmieniają, a ze swoimi po wiek wieków żyć potrzeba.

Nie znano i znać nie chciano Ottona z Piley. Nie miał on, jadąc, nadziei, aby go zbyt mile przyjęto, lecz ufał sobie, że uprzejmością i gościnnością powoli serca zjedna. Trafiwszy na ten pogardliwy niemal opór, nie wiedział spełna, co czynić.

Ponieważ z biskupem dobrze był, jego pytał o radę. Ten westchnąwszy do Boga, złożyłwszy ręce, nie więcej nie rzekł nad to, że czekać było potrzeba i nie okazywać gniewu.

Tymczasem na zamku ciągle pustki były. Oprócz kilku swoich Krakowian, nie miał nikogo, a ci, popróbowałwszy się do Wielkopolan zbliżyć, odprawieni ostro, zostali sami jak on.

Po gospodach, napróżno szukali znajomości, gdzie się który śmielszy weisnął, przychodziło do waśni — kilku porąbano, reszta na zamku siedzieć musiała. Nawet ci, co powinowatych mieli w Wielkopolsce, nie znaleźli lepszego od nich przyjęcia.

Tymczasem, jak przed przybyciem Ottona z Piley, tak po jego przyjeździe, rozboje i napady, gwałty i najazdy trwały ciągle. Mało było ziemian, co z dworem trzymali, na palcach można ich było policzyć, ci zaś, szczególnie na gwał-

towności wystawieni byli. Otto z Piley chciał moc swą i powagę okazać, zarządził pogonie, wyprawił oddziały; nie powiodło mu się zupełnie. Jego ludzie ani języka dostać, ni pomocy od nikogo doprosić się nie mogli, odprawiano ich jak nieprzyjaciół, znać nie chcąc. Nawet ci, którym w pomoc przychodzili, pozbyć się ich byli radzi.

Cierpiał tak czas jakiś Otto z Piley, a coraz bardziej niepokojące wieści go dochodziły.

Duchowienstwo, na które rachował, bezsilne było, w końcu i ono swoim się narażać, i z nimi dla wielkorządcy zrywać nie chciało.

Radził biskup z Przedysławem z Gołuchowa mówić i przez niego sobie ziemian jednać. Otto z Piley wiedząc, że powoływać go do siebie byłoby próżnem, bo wojewoda pewnoby się nie stawiał, sam, dowiedziawszy się, kiedy w Gołuchowie go znajdzie, z małym pocztem doń pojechał.

Nie byli obcy sobie, bo się już w życiu nieraz spotykali; lecz teraz zaszły stosunki nowe i poprzednik na wielkorządach ani się już w Poznaniu pokazał.

Jednego dnia wiosny, wczesnej nadspodzianie, z gradem i ulewą a wichrem, w złą godzinę przybył Otto z Piley na zamek gołuchowski.

Nie wiedziano kto był, gdy zajeżdżał, a że gościnność u nas zawsze cnotą była najpierwszą, ani spytano nawet, spuszczać brone.

Wyszedł pan Przedysław, pewnie się kogo innego domyślając, i zdumiał mocno, gdy Ottona zobaczył. Rad czy nie rad, do domu wpuścić i witać musiał.

Toporczyk już tak był podrażniony tem, co go tu, a nawet po drodze spotykało, iż nie usiadł, ani gościny nie przyjął, póki, co miał na sercu nie zrzucił.

— Panie wojewodo! — zawołał stojąc w przed-sieni, — wiem, że mi nie jesteście radzi, żem wam gościom niemiłym, lecz — wybyście do mnie nie chcieli, ja do was musiałem.

Skłonił się Przedysław. Weszli do wielkiej izby dolnej sklepionej. Gospodarz siedzenie pierwsze wskazał. Otto nie siadł.

— Przybyłem do was po radę, — odezwał się. — Królowa Elżbieta, na którą król nasz rządy tego królestwa zdał, z porady panów komesów swych i baronów zesłała mnie tu w miejsce wasze. Chciejcie wierzyć, żem się ja o to ani starał, ani dobijał..

Wiedziałem, że mnie niewdzięczną przyjmiecie twarzą..

Królowej posłusznym być musiałem, radbym tylko to czynić, co wam miłem i dobrem być może. Dlaczego wszyscy, jakobyście słowo sobie dali, odsuwacie się odemnie?

Przedysław pomileczał chwilę.

— Naprzód muszę wam to rzec, co mi najwięcej na sercu leży, — odezwał się, — a to, że ja też wielkorządy sprawowałem, jako powinność, ale nie żebym się ich napierał i o nie ubiegał. Dziśbym ich nie wziął.

Byćże to może, abyście nie wiedzieli sami, dlaczego was tak Wielkopolanie przyjmują?

Ziemia ta, gniazdo piastowskie, od której całe to państwo imię wzięło i królów, wydziejczone ze wszystkiego, nawet z tego przywileju, że korony w Gnieźnie strzegło... zostało przy tem jednym, że je zawsze Wielkopolanin rządził...

Nie mając udzielnych książąt, chciało i chce mieć nad sobą takiego, coby się tu zrodził i wychował.

— Albośmy to w całej tej koronie nie wszyscy bracia? — zapytał Otton. — Przecie Toporów naszych siła w Szląsku i tu u was. Jam tu obcy?

— Jeśliśmy bracią, to — stryjeczną, — rozśmiał się Przedysław, — daremna to rzecz inaczej dowodzić, kiedy nas po mowie i obyczaju każdy pozna, że nas nie jedna kwoka wysiedziała... Zresztą, tu o prawo idzie, a nie o miłość.

Gdyby wam wielkopolanina posłali do Krakowa, tak samobyście się nań zżymali.

Królowa ani król tego nie rozumieją, wy, miłościwy mój, powinniście byli zawczasu wiedzieć, co was czeka.

Otto z Pilcy potrząsł dumnie głową.

— Tem zawiniłem, żem tego nie przewidział, — rzekł. — Stało się. Dziś dać się wam wygnać, mnie, z ramienia króla posłanemu, sromby było... Zawierzcie mi, że dobra pragnę i...

Ręką skinąwszy nic dał mu mówić Przedysław.

— To nic nie pomoże, — przerwał. — Obraliście złe stanowisko. Żal mi was, lecz rady na to nie ma.

— Cześć moja nie pozwala mi go opuścić.

— A nasza cześć nie dopuszcza, byśmy inaczej was przyjęli, tylko tak, jako widzicie.

— Znać mnie więc nie chcecie?

— Ottona z Pilcy szanuję, — rzekł Przedysław, — ale wielkorządcy w Poznaniu Krakowianina — nie znam.

— Gdzież ono prawo, którego się trzymacie?

— Wieki je zapisały... a czy na karcie gdzie stoi czy nie, my go sobie odebrać nie damy.

A po chwili dodał wojewoda.

— Przyjdzie do tego, że, gdy dziś wszystko pisać i pieczętować potrzeba, bo żadne słowo nie waży, postaramy się o to, na przyszłym, da Bóg, zjeździe jakim, aby obyczaj w pisanie prawo się obrócił

Stali tak naprzeciw siebie, a wojewoda ciągle gościowi siedzenie wskazywał, gdy on już ku oknu otwartemu patrzył, ażali grad i słota nie przejdą, aby nie mieszkając, się oddalić.

Podano kubki powitalne, nie tknął swego Otton.

— Panie wojewodo, — rzekł, — mnie się widzi, że wola królewska jest po nad prawo. Starajcie się ją odmienić, lecz słuchać jej potrzeba.

— A mnie się widzi, że rycerstwo tych ziem prawa swe miało i nawet u swych własnych panów upominało się o nie, cóż dopiero u obcego?

— Ale tenci królem naszym jest! — odparł Otto.

— Węgierskim i dalmackim więcej jeszcze... szepnął wojewoda.

Otto się zwolna przeszedł po izbie zadumany.

— Powinniście na to pomnieć, — rzekł, — że póki żył król Kaźmirz, o to się najpilniej starał, aby z rozerwanego państwa jedność stworzył, bo to siłę mu daje. Chcecie więc rozerwać, co połączył, godzicie na bezpieczeństwo i potęgę korony tej?..

— Nie oddzielamy się przecie, ani królowi posłuszeństwa nie wypowiadamy, — odparł Przedysław, — lecz chcemy, aby zarówno wielkopolskim był jak krakowskim.

Poruszył ramionami Otto.

Na dworze szalał jeszcze wichur i grad z deszczem bił o ściany; lecz, nie zważając na to, dłużej już rozprawiać nie chcąc, Otto kołpak swój, który był na stole położył, wziął w rękę, skłonił się i zmierzał do wyjścia.

— Bez gniewu, — odezwał się Przedysław. — Chcieliście porady odemnie, musiałem wam ją dać. Czyńcie, co słusznem widzicie...

— Na stanowisku wytrwać muszę, — odparł dumnie Toporeczyk. — Wy też rozmyślić się powinniście, czy walkę wam z królem i królową rozpoczynać się godzi.

— Wyzwano nas, — krótko odezwał się Przedysław.

W obu widać było, że nie czuli się nieprzyjaciółmi, i że raczej pociąg ku sobie mieli niż niechęć, lecz żaden z nich ustąpić nie mógł.

Grad ciągle na dachach i po ścianach warczał i szumiał.

— Nie czyńcie mi tej krzywdy, abyście dom mój w taką porę opuszczać mieli, — ozwał się wojewoda. — Z wielkorządcą rozmowa skończona, a Otto Toporeczyk gościem dla mnie miłym.

Dał się przybyły skłonić i rzuciwszy czapkę, usiadł.

Spojrzelili na siebie.

— Wielkopolska więc, — rzekł, — na króla i królowę zagniewana?

— Inaczej być nie mogło, — począł gospodarz. — Król Ludwik wprawdzie odwiedził nas, tak samo jak Łęczycę i Sieradz, ale w Gnieźnie nawet na przygotowanym dla siebie tronie usiąść nie chciał...

Otto zmilczał.

— Niesłuszne uprzedzenia wasze, — odezwał się po chwili. — Król Ludwik pan jest mądry i dobry, płynie w nim kropla krwi Piastów, królowa stara Kaźmirzowa siostra, Łoktkowa córka, pani wielce łaskawa.

— Miły mój, — rozśmiał się Przedysław, — policzcie jej lata, czy w tym wieku takim, jak nasze królestwo, rządzić jej przystało?

Dobra jest... ale sama dobroć ta dla nas się w złość obróci, bo źli ludzie z niej korzystają będą i już korzystają...

Prawdy do niej nie dopuszczają, kraj się zawichrzy...

Nie dokończył. Smutnie na stół patrzył Otto z Pilcy.

— Gorzko prawicie, — szepnął.

— Bo nam goryczą serce zapływa, — odparł Przedysław.

Tymczasem rozjaśniło się nieco, chmura niesiona wiatrem szybkim w stronę odeszła.

Otto z Pilcy powstał, rękę podając gospodarzowi.

— Zaprawdę nie wiem, co pocznę, — rzekł, — ale z wami rozstać się nie chcę jako obcy. Prawdę usłyszeć zawsze dobrze.

Szli tedy razem ku sieni, gdzie służba wojewodzińska czekała, i Otto z Pilcy, nie zatrzymując się dłużej, konia sobie podać kazał.

O tej bytności jego u siebie nie rozpowiadał wojewoda. Żał mu było człeka, który tem zawi-
nił, że się lekko porwał na sprawę, której nie
rozważył.

Pozostał jeszcze Otto z Pilcy na wielkorząd-
stwie swem miesięcy kilka, lecz silił się napróżno
przygarnąć ludzi ku sobie. Oprócz biskupa i kilku
duchownych nikt doń nie zajrzał.

Tymczasem nieład coraz większy szerzył się
po kraju, o którym on zapóźno zawsze się do-
wiadując, zapobiedz mu nie mógł. Każdy sobie
sam sprawiedliwość domierzał, nie uciekając się
do niego.

Siłą zmódz nie mógł ludzi, bo nie miał innej
nad tę, jaką mu rycerstwo wielkopolskie da-
wało, a to szło niechętnie lub wcale nie przyby-
wało, i rozkazy jego spełniało tak, aby skutku
nie miały.

Ruszył w końcu Otto z Pilcy do Krakowa, do
królowej, zniechęcony wielce.

Gdy się to działo, Nałęcz, a z nimi znacz-
niejsza część ojczyków tutejszych, już coraz pil-
niej nad tem radzili, aby sobie Piasta wybrać
i postawić go przeciw Ludwikowi.

Dersław, który na Mazurach pokrewnych miał
i znajomych wielu, nimby z drugimi na Białego
książęcia, za którym wielu było, głosował, umy-
ślił, gdy wiosna nadeszła, do Płocka się udać,

kędy przyjacielem miał Mikołaja z Milanowa, skarbnika przy starszym księciu Ziemowicie.

Zwyczajem swym z tem, że czem jechał, wydawać się nie chciał. Za pozór dobry służyć mu miało, iż Lasotę, powinowatego, który ze śmiercią Kaźmierzową, został bez służby, przy mazowieckich książętach chciał umieścić. Ani też Lasocie się nie zwierzył z czego innego, tylko mu myśl tę poddał.

— Nim się co innego znajdzie, — rzekł mu, — abyś nie tęsknił w tej dziurze u mnie bezczynny, czemu by na Mazurach nie spróbować? Książęta są nasi, a urosli teraz w moc większą... Służą u nich ludzie i — dobrze im się dzieje.

— Tak ci, — z małym uśmieszkiem odparł Lasota, — słyszeliśmy o tem, jako tam pod ks. Ziemowitem zdrowo i bezpiecznie... kogo końmi nie roztargają albo nie powieszą, temu zdrowo.

— Ks. Ziemowit, — żywo przerwał Dersław, — nie ten już co był, złagodniał dużo... Zresztą sami zobaczymy, co się tam dzieje. Stary książę na zajęty po śmierci króla Płocku siedzi i obwarowuje się, młodzi w Czersku i Warszawie. Przy starym mój Mikołaj z Milanowa skarbnikiem, odwiedzić go pojedziemy. Nie spodoba się nam, siłą nas nie zatrzymają.

Lasota odgadł może, iż nie dla niego samego jechał powinowaty, lecz nie dał tego znać po sobie.

Mazowsze onego czasu, dopiero można było powiedzieć, zaludniać się, karczować, i tak jak drugie ziemie osadzać zaczęło. Mało co przed tem, gdy z Litwą zgody i pewnej granicy nie było, ze skraju szczególniej piaski i lasy pustynią stały.

Osiedlać się ludzie nie radzi byli, bezpiecznymi nie czując. Wielu ztąd Litwa nachwytała i w niewolę nauprowadzała, tak, że w głąb puszczy rzadka ludność chronić się musiała. Teraz dopiero gęściej wioski stawały, i po troszę pola wydzielano, choć z nich wielkiego pożytku nie było, i po latach kilku zapuszczano nowiny, wydzielając z pod lasu żyzniejsze role. Miasteczka też wprzód ubogie, po troszę się zabudowały, a i zameczki z kamienia i cegły na wzór kaźmirzowski stawiać poczęto.

Wziął książę Ziemowit po królu Płock i całą tę dzielnicę dobrze zagospodarowaną, więc i swoje Mazowsze na wzór jej podnosił.

Z Piastów ówczesnych ta gałąź odszczepiona najbujniej i najsilniej się krzewiła. Dla tego na nią spoglądano nie bez myśli, aby jej przyszłe losy korony całej powierzyć. Nie zdradzano się z tem jeszcze. Dersław i przypatrzeć się chciał dworowi, i przysłuchać, co tam tętniało, i wymiarkować, czy na Mazowieckich Wielkopolska rachować może.

Bywali tam z Wielkiej Polski niejedni, ziemianie się kumali i żenili, przecież Mazury jakoś odrębnie stali i zbliżenia zupełnego nie było. Wielkopolanina od Mazura łącno było rozpoznać.

Powolniej tam w te puszcze, na te wydmy piaszczyste, do tych wsi rzadko rozrzuconych, dochodził obyczaj europejski, którego Krakowianie już dużo, i Wielkopolska po troszę chwyciła. Ziemianie na Mazurach żyli z prosta, stary obyczaj, odzież, język, odwieczne obrządki różne się tam zwłaszcza u uboższych, uchowały. Stosunki z Litwą po nad granicami, nawet pogańskiego dużo poprzynosiły i stare bałwochwalecze zwyczaje odżywiały. W niektórych wioskach, choć ksiądz był, choć się ludzie żegnali, choć do kościoła zaglądali, pan Bóg prawdziwy razem u nich stał z dawno wygnanemi.

Przy weselach, chrztach, pogrzebach, proboszcze na wiele obyczajów i pieśni uszy zatykać musieli.

Po nad większemi gościńcami, kędy kupiectwo ciągnęło, u brzegu rzek, które też drogi stanowiły, lud się już trochę ogłodził; w puszczach jeszcze obcego zobaczywszy, a zwłaszcza zbrojnego, krył się i uciekał. Z chat całemi rodzinami zbiegali wieśniacy na widok podróżnych.

Wioski też te, do których rzadko obcy zaglądał, takimi tu jeszcze pozostały, jakimi przed wieki były, chałupy w nich dymne stawiono, a

w zagrodzie ludzie, bydło i owce razem na kupie żyło.

I pól niewiele jeszcze widać było, bo się około nich praca rzadko opłacała. Z trzody, z lasu, z rzeki żył włościanin, i z nowin, które na popielisku ledwie radełkiem poruszywszy, a lada gałęzią zabronowawszy, rad był, gdy mu choć rzadki kłós wydały.

Wśród takiego ludu i ziemianin, i ksiądz żyjąc, stawał mu się po troszę podobnym. Wętu, oprócz książęcego dworu, niełatwo było ujrzeć suknię kosztowną, zbroję lśniącą i strój wykwinny. Proste sukno grube, płótno szare i kożuch panowały. Oręż też staroświecki, oszczep drewniany, kęsem żelaza zaostrzony, najpospolitsze były.

Po wsiach wielu żelazo za drogi kruszec uchodziło, na który się łakomiono, jakby na srebro i złoto. Nie każdy nóż mógł mieć, lecz się bez niego umiano obchodzić. Na wozach długo potem jeszcze okowy żadnej nie znano, a siekiera w domu wielkim skarbem była.

Ubóstwo to pozorne przecież nie czyniło Mazurów nędzniejszymi od innego ludu.

Las był wielką skarbnicą, on dostarczał wszystkiego: jadła, opału, budulca, i obuwia, i wici. Był niby domem, był twierdzą. Na gołych górach i niezarośłych miejscach ledwie kto się budować

ośmielił, bo ten tylko bezpiecznym się sądził, którego dojrzeć i wyszukać było trudno.

Stary Dersław zwykł był się w podróż wybierać nie gromadząc ludzi wielu, bo wiedział, że poczet wielki a świetny wałęsających się po lasach zbójów przynęcał. On, Lasota, około dziesiątka czeladzi odzianych niepokaznie, wyjechali z Wielkiej Wsi do Płocka.

Drogę mniej więcej starym zwyczajem przepowiedzianą sobie mieli: do brodu jakiegoś wprost, od niego nad ruczajem w lewo do wzgórzy piaszczystych, potem doliną na przełaj, nad łąką i tym podobnie. Instynkt więcej prowadził, niż te dane niepewne. Na polach też gdzieś spotykało się pastucha, z radłem parobka lub wędrownego dziada, którzy drogę do najbliższego miejsca pokazywali.

Spuszczano się na to.

I tym razem Dersław, trochę na Opatrzność Bożą rachując, z miejsca wyruszył, a choć się skazówek w prawo i lewo trzymano, ku wieczorowi zapadłszy w puszcę dziką, tak dobrze zabłądzili, iż gdy noc nadchodzić zaczęła, już myśleli o noclegu pod gołym niebem na polanie.

W tej roku porze nocleg w lesie wielkiem nieszczęściem nie był, bo konie napaść na trawie mogli, sami w sakwach chleb i zapas jaki taki mieli, a woń rozpuszczających brzoź i czeremch rozkwitających nie była przykrą.

Miejsce, w którem się znajdowali, ciągle kołując, dla natrafienia na jaką ścieżynę, śladu ludzkiej stopy nie okazywało. Las stał pod niebo wyrosły wiekami, miejscami podszyty gąszczami i zawalony łomem, który przebyć było ciężko. Ostępy dawno nie plądrowane, gdyby nie wieczór, zmusiłyby ich do polowania, bo zwierz tu, zabezpieczony, leżał spokojnie w barłogach i ledwie na ciśnienie oszczepu zrywał się do ucieczki.

Dersław powiadał, że takiego dzikiego lasu zdawna nie widział i że chyba bardzo się z drogi zbic musieli, gdy się w taką zapadlinę dostali.

Szukano tylko miejsca sposobnego na spoczynek, gdy z pomiędzy drzew ukazała się rzeczulka wśród moczarów, a po za nią na piaskowatym wzgórzu, coś jakby stare opuszczone horodyszcze.

Wiele podobnych już naówczas, po kraju spotykać było można, co niegdyś za pogańskich czasów za schronienie i na gromadzenie się wieców służyły, a teraz trawą porastały.

Błoto i rzeczulka dzieliła podróżnych od pagórka, Lasota się rzucił naprzód, szukając brodu, i wkrótce począł wołać ku sobie Dersława, gdyż na moczarach hać znalazł i rodzaj dróźyny.

Był to już ślad, że tu w pobliżu ludzie żyć musieli. Puścili się więc podróżni, spodziewając albo domostwo jakie znaleźć, lub choćby na wzgórkę suche legowisko.

VII.

Słońce już zachodziło jaskrawo i złocisto, ale na dworze jasno jeszcze było, jak we dnie, i okolicy dobrze się przypatrzyć mogli. Nie ulegało wątpliwości, iż się ku osadzie jakiejś zbliżyć musieli. Hać świeżo gałęźmi narzucona była tego dowodem. Rzeczka w tem miejscu koniom ledwie po brzuchy sięgała, choć woda była wiosenna.

Na przeciwnym brzegu i kopyt końskich i nóg ludzkich w piasku widoczne były ślady. Wiodły one ku górze, na której dotąd zabudowań żadnych i gródka ani wałów widać nie było.

Lecz gdy, rozmawiając głośno, wdrapywać się zaczęli na ów kopiec piaszczysty, w chwili, gdy się tego najmniej spodziewali, zjawił się przed nimi dziwnie przyodziany i uzbrojony mąż, który im na drodze stanął, jakby chciał dalszy pochód hamować.

Mąż był letni, z długim włosiem siwym, spływającym mu na barki, silny i barczysty, w kołpaku na głowie, podobnym do litewskich, w krótkim przyodziewku z brunatnego grubego sukna, skórzanym pasem podciągnięty, nogi mający osznurowane, jak wieśniacy, i w chodaki odziane. U boku wisiał mu szeroki miecz w ciemnej pochwie, a w ręku jednym miał grubą pałkę nabijaną krzemieniami.

Chociaż strój ten prawie go dzikim czynił, twarz wcale nie była pospolitą, rysy miała szlachetne i niegdyś piękne, a dziś jeszcze smutną dumą napiętnowane. Bródka i wąs ciemniejsze od włosów, podstrzyżone, nie osłaniały ust, których wyraz, równie jak czoła namarszczonego, niemal gniew zdradzał.

— He! — zawołał — dokąd? kto? stój? Co was tu zagnało?

Dersław, który naprzód wystąpił, z wymowy poznał, że nie z Mazurem miał do czynienia.

— Na Boga — odparł — cóż tu u was drogi podróżnym nie wołne?... Gdzieżeśmy się to dostali?...

Po chwili hamujący ich zawołał.

— Dostaliście się, kędy ani was nie potrzebowano, ani wam było potrzeba?

— Więc już zbłąkanym nawet drogi nie pokazecie?

— Gotowem nawet poprowadzić — ofuknął

stojący — ale tu wam nie potem jechać. Tu nie ma ani gościńca, ani gospody...

— Zkąd wy? — dodał gniewnie.

— Z Poznania do Płocka — rzekł Derśław.

— Lichoż was tu zanosło!? Wstąpił do piekłów po drodze mu było! — krzyknął zastępujący ścieżynę.

— No, a gdzież jesteście i kto wy jesteście? toć wiedzieć wolno — rzekł łagodnie Derśław. — Co u licha, zbójami nie jesteście...

— Kto ja, to wam na nic nie potrzebne — wołał nieznajomy. — Nie jesteście zbójami, ale na zbójów możecie natrafić...

Mówiąc to, przyglądał się pilno Derśławowi i jego ludziom.

— Zawracajcież ztąd — począł znowu — tędy wam nie droga... a chcecie nocować, to na drugiej stronie rzeki wypas dla koni znajdziecie...

— Na pagórkuby nam lepiej było — wtrącił Derśław.

Gniewny człek cały się strząśł.

— Powiadam wam, na pagórku nie ma dla was nic. Z Bogiem, z Bogiem ruszajcie, zkąd przyszliście. — I palcem im pokazał w przeciwną stronę.

W spokojnym Derśławie krew grać zaczęła.

— Z mowy waszej — rzekł — widać, żeście nie lada prostym parobkiem, a obchodzicie się

z nami gorzej chłopu... Czegoż nas ztąd pędzicie?...

— Boście tu ani wy, ani nikt niepotrzebny— poczał wołać głośno mężczyzna. — Tu pustynia, tu nie ma nic... A ktom ja, parobek czy ziemianin, nikomu nic do tego...

— Ależ to u nas jeszcze nie bywało — wtrącił niecierpliwszy Lasota — żeby gdziekolwiek zapierano podróżnemu drogę i nie dawano mu nawet spocząć, a popaść koni.

— Spoczywajcie! konie paście tam za rzeczka — krzyknął, tupiąc nogą i podnosząc oszczep nieznamomy. — U nas, co nie bywało nigdy, to się może stać. Drogę do Płocka gotowem wam jutro powiedzieć.

I drżącą ręką znów pokazał na rzeczka. Dersław patrzył nań, jak w tęczę, i odrazu uśmiechać się poczał.

— Słuchaj, Okoń, a toś ty oszalał, czy co?

Gdy to imię wymówił, stary się rzucił i gwałtownie przypadł ku niemu z takim ruchem, że się Lasota miał już do miecza. Dersław pozostał spokojnym.

— Bylbym gardło dał, że ciebie na świecie nie ma! — zawołał.

— Tak, bo Okoria na waszym świecie nie ma... nie ma — poczał gniewny stary.

Lecz powiedziawszy to, jakoś ochłonął i opamiętał się.

Derśław podszedł ku niemu.

— Jeślic o to idzie — szepnął mu — abym cię ja nie zdradził, toć mnie znasz... Udobruchajże się, ludzi, kiedy chcesz, za rzeczkę noclegować odprowadzę, a mnie nie odpędzaj tak bezczęśnie.

Okoń zdawał się namyślać.

— No, ludzie za rzeczkę — zawołał — za rzeczkę, i żeby mi się tu nie napychali... nie ma po co?

— To mój powinowaty, młody Lasota Nałęcz — rzekł wskazując Derśław — mógłby i on z nami zostać.

— A co on tu robić będzie? — syknął Okoń — tam ludziom potrzebniejszy, niż tu nam.

Stało się, jak chciał, zwolna czeladź Derśławowa i Lasota zawrócili się nazad, wyrzekając i mruczac, stary Nałęcz pozostał z tym, którego Okoniem był nazwał. Nie mówili do siebie nic, bo ten, jeszcze zaperzony i niespokojny, do siebie przyjść nie mógł. Spluwał i rzucał się, pomrukując tylko.

— Licho was tu naniosło.

Derśław czekał spokojnie, aby mu odeszły gniewy.

Po chwili Okoń się z ręką wyciągniętą zbliżył do niego.

— Rękę mi daj i poprzysiąż, że ani ty, ani twoi o mnie tu... o tem miejscu i spotkaniu

mówić nie będziecie. Okoń zmarł... co wam do Okonia!

I powtórzył. — Licho was tu naniosło.

— Pewno, że lichy — odparł Derśław — ale ja cię nie zdradzę, ani moi... Powiedzże mi, co ty tu robisz?

— Na Chrystusa mi przysięgasz? — podchwycił Okoń.

— I na Ewangelię Jego — palce w krzyż składając i całując je, rzekł Derśław.

Okoń pomyślał chwilę, obejrzał się na odjeżdżających Lasotę i czeladź, którzy już rzeczkę przebywali, powstał milczący, aż gdy na zawrocie wierzby ich zakryły, za uzdę wziął konia Derśława i milczący począł go za sobą prowadzić.

Nałęcz dawał z sobą czynić, co chciał. Szli tak ku górze zwolna, a Okoń wreszcie się odezwał.

— Oto widzicie, gdzie się ja zabił. Ziemia była bezpańska, czart jeden wie, do kogo ona należała, ja po dziś dzień o tem nie wiem. Na ziemi bezpańskiej człowiek bez służby i bez pana siadł i siedzi... Nikogom o pozwolenie nie pytał, pusty gródek zajmując, więcem nie rad, gdy mnie tu kto widzi, a rozgada i potem upomni się kto jeszcze, albo wyżenie, albo z nim będę wojnę krwawą miał.

— Ale na Boga, Okoniu mój! — przerwał Derśław — jakże ty, coś urzędy sprawował

na książęcych dworach, coś do ludzi przywykł był, mogłeś tu się... tak...

Nie dokończył.

— Właśnie dla tego, że na dworach zęby zjadł, że pański chleb gorzki za długo gryzł, że ludzi zbrzydził, poszedłem na te pustynie — zawołał Okoń.

— I żyć tu możesz?... sam?...

Na to pytanie Dersława nie odpowiedział Okoń. Właśnie drożyna kręta, którą się na wzgórze spinali, zakręcała się i w wąwozie, jakby między przerwanemi wałami staremi, w dół nieco się spuściwszy, ujrzał Nałęcz, jak misę ogromną wkleśła, starego grodziska podwórze, trawą zarosłe. Do jednego z usypów przyparta była chałupa na pół w ziemi, na pół z bierwion grubych ponad nią wystająca.

Do koła też szop i kleci było dosyć, ale to wszystko biednie i nędznie wyglądało.

Gdy w dziedziniec, zewsząd osłonięty wałami, wjeżdżali, ludzi kilku, jakby na pogotowiu stojących z toporami w ręku, wyjrzało, i na dany przez Okonia znak, pochowali się, oprócz parobczaka na krzywych nogach, przygarbionego, który Dersławowego konia wziął.

Okoń gościa swojego prowadził do głównej chałupy. Tu niewiasta w białej namitce, nie stara jeszcze, stojąca w progu, z przekleństwem jakimś, obcego najrzawszy, pierzenęła.

Chata była nędzna zewnątrz, ale świetlica w niej mała, chędogo i cała zawieszona orężem, zbroją i skórą, podobną była do namiotu w obozie, kiedy czas go rozbić na dłużej.

Kwaśno Okoń przyjmował starego znajomego.

Miodu dla niego poszedł do kąta sam utoczyć, chleb czarny i sól przed nim postawił, i na niskiej ławie siadł przy nim. Sparł się na rękę, zdjawszy kołpak, i nie rychło się odezwał.

— Widzicie to moje państwo... U moich dawnych panów psy lepiej mieszkaly, ale mnie tu dobrze, bom ja tu panem też...

Co było robić? Służyłem Mazowieckim, o małym życia nie postradał niewinnie, byłem wprzód długo u Białego, włóczyłem się z nim po świecie. Ten się z księcia mnichem zrobił, już nowych panów szukać nie chciałem. Natrafiłem na tę wydumną pustą, powiadam wam, była bezpańską, spodobała mi się, że tu na okół ludzi nie ma, obszary ogromne... wszystko moje... Poluj, kędy chcesz, bij, co chcesz, karczuj, siej, ryby łów, nikt ci słowa nie powie... A dla kogóż Pan Bóg ziemię stworzył? Teraz ona moja... Osiedliłem się. Ludzi trochę do mnie przystało, prawda, że włóczęgi i zbóje, ale ja ich trzymam, jak bydło, bijąc i karząc... chleb mają, słuchać muszą.

No, i babem napytał, żeby było komu chusty uprać. Jakby się ludzie dowiedzieli, że na pustkowiu ktoś siadł, do gotowegoby się kto mi

przypytał. Mnie tu nikt nie widział, nie wie o mnie nikt, dlatego i wam nie rad.

Dersław ruszył ramionami.

— Ktoby wam tej wydmy pozazdrościł! — rzekł pogardliwie.

— Tem lepiej, zostanę w mojej dziurze, a po mnie...

Machnął ręką.

— Niech będzie, co chce... Parobkom zimą kazałem dąb srogi spuścić i żłób z niego zrobić na trumnę. Wieko jest... gwoździe są. . Po-chowają mnie tu... i koniec wszystkiemu temu życiu głupiemu.

— Mój Boże! — westchnął Dersław — ktoby się w was tego Okonia dawnego domyślił, który dziewczkom głowy zawracał i tak strojno występopywał, a tak na koniu harcował i oszczepem dzielnie ciskał!

Uśmiechnął się temu wspomnieniu Okoń.

— Ha! — rzekł — konia ja jeszcze i dziś dosiadę, i oszczepem rzuć, jak dawniej, tylko od niewiast i od dworów mi ochota odeszła.

Milczeli nieco, aż Okoń głowę podniósłszy spytał.

— Do Płocka? pocóż wy do Płocka?

— Albo by wam to rzec, albo nie — odparł Dersław. — Wy nie chcecie, aby o was ludzie wiedzieli, ja też nie radem się spowiadać.

— No, to kat cię bierz — rzekł Okoń obo-

jętnie — jedź sobie i do Płocka, i do Czerska, i do Warszawy, mnie to wszystko jedno.

— Nie wiesz, co się u nas dzieje? — wtrącił Dersław.

— A mnie co potem? — rozśmiał się Okoń. — Nie chcę wiedzieć o niczem, byle o mnie nie wiadziانو.

— Juści o tem choć musiało do was dojść, że król Kaźmirz umarł — rzekł Dersław.

— Wieczny mu odpoczynek — zamruczał Okoń. — Pan był dobry, ale pono, jak ja, mówił, niech po mnie co chce będzie.

— Tak, i panuje nam Ludwik węgierski, a raczej baba, stara matka jego.

— Stara? a no jej do klasztoru już i pacierze klepać... nie panować!

— Ba! żebyście widzieli, jak świeżo wygląda, a co gachów koło tego trupa się kręci — mówił Dersław. — Ino śpiewy, płasy i uctowanie a śmiechy...

— Koło niej to zawsze tak bywało — przerwał Okoń — tylkoby już ustać powinno. Czas...

— Ta nam króluje — ciągnął Dersław dalej — miarkujcie... jak nam z nią i z jej synem...

— I cóż myślicie?

— Jeszcześmy nie wymyślili nic — rzekł Dersław.

Okoń popatrzył nań bacznie, głową potrząsł.

— Niceście nie wymyślili, a wy jedziecie do Płocka? — mruknął. — Odgadnąć łatwo po co! Chcielibyście może Mazura skosztować, gdy wam Węgier nie smakuje?

Dersław zmilczał.

— Ten nie lepszy — ciągnął Okoń. — Baba wam za miękka, a on będzie za twardy... To kat, nie pan...

Zachnął się na te słowa Dersław.

— Co prawicie? — zawołał.

— To, co najlepiej wiem — mruknął Okoń. — Przecież długo panem moim był, a ja u niego cześnikiem... Nie daj Boże w jego ręce się dostać.

— Mówią, że na starość spowolniał?

Okoń się rozśmiał.

— Siły nie ma, to i złość w sobie kryje — rzekł.

Zmierzchało coraz bardziej i gospodarz poszedł do komina drzazgi zapalić dla oświetlenia ciemnej izby.

— Ochotę mi odejmujecie jechać do Płocka — rzekł Dersław — lecz on, nie on, dwu synów ma...

— Byle się w niego nie wdali — syknął Okoń — nie dwu, ale i trzech się znajdzie...

Dersław siedział trochę zamyślony.

— Przed wami się taić nie chcę — rzekł w końcu — wy mi możecie dać radę dobrą.

Wielkopolanie Piasta sobie szukają, aby go królem zrobić... Pomyśleliśmy o Ziemowicie... Jakby ten nie chciał, albo my go nie mogli... gotowiliśmy waszego Białego z klasztoru wyciągnąć.

Usłyszawszy to, Okoń się z ławy zerwał i śmiać począł dziwnie, aż zanosił.

— O! krętoż około was być musi, kiedy szczupaka nie mając, taką płocicę na stół kładzicie! — zawołał. — Biały? a toć to taki ksiązę, że nigdy nie wiedzieć, co robi jutro...

Zechcecie? pójdzie z klasztoru, zbroję wdzije, dwa dni się będzie bił, trzeciego klęknie się modlić, czwartego gotów się żenić, a piątego żonkę porzucić!

Śmiał się urągliwie Okoń.

— Wy bo — wtrącił urażony Dersław — na nikim nitki nie zostawicie pocziwej, krzywi wam wszyscy!

— Jako żywo! Białego kochałem i kocham, służyłem mu. Człek nie zły pod czas, ale jutro się gotów wściec, choćby pojutrze płakał na to. Takim się rodził...

— Klasztor ci go uśmierzył i odmienił pewnie — rzekł Nałęcz.

— Bóg wie! — westchnął gospodarz — mnieby się temu wierzyć nie chciało. Zmieniają się ludzie,

tylko nie tacy, u których żaden dzień do drugiego nie podobny.

Na króla taki pan najgorszy, a choć Mazur ciężką rękę ma i gwałtowny jest, i życie ludzkie u niego słomki nie warte... już i ten byłby lepszy...

Okoń siadł na ławie i w ogień patrząc dumiał.

— Ja bo, przyznam się wam — począł znowu Dersław — o Mazurach mało co wiem. Dopiero do starego druha, do Mikołaja z Milanowa, jadę języka wziąć.

— Na to nie potrzebujecie Mikołaja — westchnął Okoń — ja ich lepiej od niego znam, bom bliżej sypialni i stoła był... Znać historię jego i onej drugiej żony... a tego syna, którego on teraz tak kocha?

To mówiąc, uśmiechnął się złośliwie Okoń, i wnet poprawiając się dodał. — A no, lepiej pono, żebyście się o tem nie odemnie dowiadawali.

Wstał i za drzwi się wychyliwszy o wieczrę zawołał, na co mu baba swarnym krzykiem coś odparła.

Nim wieczerzę podano, po chłopsku zgotowaną i starą słoniną zaprawną, Dersław miał czas się odezwać.

— Uczynilibyście mi łaskę, Okoniu, gdybyście mnie Mazura waszego nauczyle. Choć Mikołaj

z Milanowa zna go, jak wy, ale jest u niego w służbie, całej mi prawdy nie powie. O tej jego drugiej żonie głuche wieści chodziły tylko, mało co wiem i z głowy mi wywietrzało.

— Jam na to wszystko patrzył — westchnął Okoń.

Możeby się zdziaczały już człek nie bardzo rozgadał, ale stary miód był na stole, rozgrzał go i język mu rozwiązał.

Stare przysłowie trzyma o Polakach, że źli są, gdy głodni, możnaby do niego dodać, że gdy trzeźwi, nie radzi mówią, a wino lub miód nadto ich otworzystymi czynią. Taka to już natura nasza.

Począł więc Okoń, po długim milczeniu, wywnętrzać się

— Prawda — rzekł — po dworach książęcych gdym służywał rycersko i z kluczami, człowiek więcej miał dostatku, życie było łatwiejsze, lecz niech tam te pieszczoty kat porwie, gdy ni-gdy głowa na karku nie jest bezpieczną, a lada zły język niewinnego może obalić. Pośliźnie ci się noga, nie znajdziesz, ktoby ratował; uciekną wszyscy, jak od zapowietrzonego. Więc już ja na pustyni żyć wolę, kędy oprócz Pana Boga nie ma nikogo nademną.

Gdy tak rozmawiali, wszedł parobek krzywonoga, bo się zrobiło późno, a na noc jakieś rozkazy miał wydawać Okoń.

Choć tam nigdy prawie ludzie nie zaglądali, strzeżonego Pan Bóg strzeże; co noc musiała straż chodzić około gródka. Wyznaczył więc Okoń, kto miał czuwać do rana. Rozmowa się na czas przerywała, wyszli nawet na próg, z kądem gospodarz na czeladź zawołał, spytał, kędy na nocleg konie odprawiono, pogroził niedbałym i stanął nieco, wedle zwyczaju, powietrzem świeżem odetchnąć.

Noc wiosenna piękna była bardzo, woniejąca, a żaby w moczarach pod górą i słowiki w krzakach na wyprzódki chórem nuciły pieśń swą, i gwiazdy mrugały dziwnie... na ciemnych niebiosach.

— Nie już nam spać się kłaść w taką noc, która bodaj od dnia piękniejsza jest — odezwał się Dersław. — Siądźmy gdzie i praw mi Ziemiowitowe dzieje, bom ich żądny.

Przed wejściem do chałupy leżało kilka kamieni, które tam dawno przywędrowały, gdy gródek jeszcze przed wieki obwarowywano, siedli na nich, i Okoń po chwili powoli rozpoczął, już się prosić nie dając.

Przyszła mu ochota swoje omszone wspomnienia odżywić.

VIII.

— To wam nie tajno — począł Okoń — że Mazowsze ostatniemi czasy dopiero zaludniać się i dźwigać poczęło, bo przez długi czas samemi klęskami nawiedzane było. Wpadali i łupili je Litwini, dwa razy srogi mór i straszne wrzody spustoszyły całe obszary, tak że z niektórych wiosek żywa nie pozostała dusza. Ze wszystkich stron nieprzyjacioly było otoczone... Każdy je sobie chciał przywłaszczyć... Musieli radzi nie-radzi książęta kłaniać się i dworować, z Litwą się bratać, Kaźmirzowi nie mogąc oprzeć, hołowali.

Ziemowit tak na wpół pokorą, wpół oporem wyprasząc się i broniąc Kaźmirzowi królowi, utrzymał się przy całym księstwie, bo teraz już i Płock zajął.

Krzyżaków też trzeba było zagadzać i żyć z nimi tak, aby nie napastowali...

Brzemie takie na ramionach mając, może i nie dziw, że książę Ziemowit stał się podejrzliwym, porywczym, a pod czas nawet okrutnym.

Z poddanych też ciągnął pobory wielkie, bo skarb musiał mieć zapaśny, aby się tam, gdzie zwojować nie mógł, okupić...

Jeszcze za młodu ożenił się był książę z Ofką, Opawskiego córką, z którą żył bardzo długo, i czworo z niej miał potomstwa, córek dwie i dwu synów.

Miał już naówczas prawie sześćdziesiąt lat, gdy mu Ofka zmarła, po której bolał wielce i z żalu się długo utulić nie mógł. Dzieci miał już dorosłe, a synowie patrzali tylko, rychło im dzielnice wypuści, aby pójść na wolę...

Trafiło się naówczas, że z Krzyżakami, od których nikt nigdy spokoju nie miał, przyszło do sporu o granice, a choć Ziemowit z nimi w zgodzie żył, że go posądzać zaczęli, iż z Litwą się zwąchał, co prawdą było, dokuczać mu zaczęli...

Więc posły nie posły, listy i groźby i wymagania przychodzić zaczęły takie, że choć książę ustępował im i przejednać chciał, niczem ich nie mógł uspokoić.

Wybrał się więc z prośbą o pośrednictwo na dwór cesarza Karola IV do Pragi, z pięknym poczem i jak na Piasta królewskiego rodu przystało.

Cesarz go przyjął miłościwie, pomoc obiecał, ale na dworze swym gościnnie zatrzymał. Jaki to dwór był, wy też wiecie, bo głośna o nim po świecie całym sława chodziła... Pięknych niewiast i rozumnych ludzi pełno na nim było. Na jedne patrzeć, drugich słuchać mógł człowiek i nie nasycić się. A że obojga pono u siebie Ziemowitowi brakło, rad się stary krzepił i bawił. Miał już naówczas lat sześćdziesiąt, jakom rzekł, ale ich na nim znać nie było.

Wszyscy ci Piastowie, jak Łoktek, jak Kaźmirz, do późnych lat umieją zachować się młodo. Ten też starym się nie czuł.

Na dworze cesarskim przebywała naówczas z siostrą swą, księżną cieszyńską Heleną, młodziuchna Ludomiła, córka księcia na Ziembicy, niemająca jeszcze lat dwudziestu. Była dziewczeczka piękności nadzwyczajnej, a więcej niż urodą, ludzi ku sobie urokiem jakimś przyciągająca, tak że jednym głosem ją tam pod niebiosa wynoszono...

Pomimo wieku swojego książę Ziemowit gdy ją ujrzał, natychmiast ku niej gorzeć zaczął, lecz sam z początku do tego nie przyznawał przed sobą, bo czyste szaleństwo było sześćdziesięcioletniemu kusić się o dziewiętnastoletnią dziewczkę.

Dworzanie, którzy tam z nim byli, a dobrze go znali, zaraz się dopatrzyli, iż mu bardzo w oko wpadła. Szczególniej ulubieniec księcia Bawor,

przewrotna sztuka, podczasy starego, pochlebca i wróg wszystkich, co się o łaski pana ubiegać mogli. sam pono w młodej księżniczce szatańsko się rozmiłowawszy, umyślił staremu swatać, w nadziei, że ją potem sobie pozyszcze...

Wiedział on dobrze, jak z Ziemowitem postępować było potrzeba, dał mu się upić tem miłowaniem i dopiero gdy stary prawie zmysły postradał, szeptać mu począł, że byleby chciał ubogą księżniczkę, za pośrednictwem siostry dostanie łatwo...

Sam zaś, niewiadomo jakimi drogami, Cieszyńskiej moc, bogactwa i potęgę pana swego tak odmalował, że ją pozyskał.

Z synów żadnego nie miał podówczas Ziemowit przy sobie, boby ci, jak później, wystąpili przeciw temu małżeństwu z obawy, aby ich więcej nie przybyło do podziału Mazowsza.

Gdy tylko staremu zabłysła nadzieja, iż Ludmiłę poślubić może, wnet na wszelki sposób, podarkami i przez ludzi księżną cieszyńską sobie zyskiwać począł.

Do dziewczeczki też zbliżył się, choć z trwogą od niego uchodziła i samego cesarza Karola pono w dziewosłęby sobie uprosił.

Słowem, iż nalegania były tak natarczywe i wielkie, że księżna cieszyńska swoją pomoc przyrzekła. Siostrę jakoś potrafiła do powolności skłonić, wielką jej rokując przyszłość, i gdy Zie-

wit z Pragi wyjeżdżał, już wioził wszelką nadzieję, że umiłowana dziewczeczkę mu dadzą.

Bawor też cieszył się tem, na młodość księżnej rachując i na mądrość swoją...

Lecz, gdy do Warszawy powrócił stary, a synowie się o małżeństwie dowiedzieli i córki; wrzawę i lament podnieśli wielki.

Nasadzili nań duchownych, nasłali zięciów, wszystko to niepomogło nic, Ziemowit rozsierzdził się okrutnie, dzieciom zagroził i milczenie nakazał...

Natychmiast do Ziembicy posłał Bawora o małżeństwo się układać, podarki szląc wielkie, obietnice czyniąc księżniczce złote...

Więc choć Ludomiła oplakała krwawo ten związek swój, iść musiała... Wydano ją za starego, z czego łotr Bawor najwięcej się oieszył, zabiegając o łaski młodej pani...

Lecz próżne to były starania, bo księżna parzyć ani na niego, ani na nikogo nie chciała.

Z samej obawy męża, który, jak wszyscy starzy, zazdrośnym był i podejrzującym, oczów na nikogo podnieść nie śmiała.

Był w ówczas na dworze naszym młody chłopak, którego i książę i wszyscy lubili, bo był i pięknym bardzo, i miał w sobie takiego coś, co do niego przyciągało.

Włosów jasnych, oczów niebieskich, białej twarzy tak, że się więcej niewieścią niż mężką

wydawała, był ten Dobek wszystkim miły, a kobiety za nim przepadały. Naturę miał łagodną, bojaźliwą prawie, miłosierną nad miarę, a chętnie usłużną.

Przy tem nie głupi był i nad wszystkich dworzan księcia więcej nmiął. Wychował go sierotą na plebanii proboszcz w Słońsku, a byli tacy, którzy domyślali się i powiadali, że księżyna mu ojcem był.

Miłował go też nadzwyczajnie, sam uczył, z domu nieodpuszczał i ledwie na książęcy dwór, gdy Ziemowit tego zażądał, na służby go oddał.

Tu z pacholęcia, że się umiał zasługiwać, a nieprzyjaciela nie miał, począł zaraz do góry iść, książę go od siebie nie odpuszczał, wreszcie podczaszym swym uczynił.

A no prawda, iż Dobka tego nie można było nie pokochać, tak za serca chwytął: mową, głosem, uprzejmością i dobrocią.

Gdy księżna Ludomiła na dwór nasz przybyła, a dano jej do posług Dobka, i ona też bardzo go sobie podobala, tak, że wkrótce obejść się bez niego nie mogła.

Bawor tedy zazdrość wielką uczuł i naprzód począł przeciw podczaszemu knować, różne przeciw niemu winy wynajdować, księciu podszeptywać — co się nie powiodło...

Myśmy na to patrzyli, a przewidywali, iż się źle skończy, bośmy Bawora naturę znali złą,

mściwą i podstępłą, a Dobek też nieopatrzny był i księżna także.

Choćby był może rad od niej unikał, dla złych języków, nie mógł. Księżna go raz wraz do siebie wołać kazała; czasem późno w noc musiał u niej służbę pełnić, i ludzie szemrali.

Bawor pierwszy się z tego wyśmiewać począł i rzucać ostreimi słowami, ale Ziemowitowi nie ważył się nic sam rzec. Próbował wprzód, czy inaczej nie skorzysta, i mówią, jakoby raz księżną samą zszedłszy, zuchwałem słowem ją zaczepił tak, że mu precz iść kazała i więcej się sobie nie pokazywać na oczy; Dobek zaś, jak był w tych łaskach, tak pozostał, i więcej teraz pani niż panu podczaszował.

Lecz że i księżną Ludmiłę kochali wszyscy i Dobka lubili, kto mógł ich zakrywał, osłaniał, nie dopuszczając, aby Baworowi dać pozór do oskarżenia.

Stało się w ten czas, iż księżna młoda, w błogosławionym będąc stanie od kilku miesięcy, gdy mąż do Cieszyna, do siostry jej w odwiedziny pojechał, towarzyszyć mu nie mogła.

Bawor tak ułożył podróż, iż Ziemowit Dobka z sobą wziąć zapragnął, za którym księżna Ludmiła prosić przyszła, aby go jej dla nslug zostawił. Ziemowit, nie się jeszcze nie domyślając, przystał na to. Bawora wziął z sobą, który ze złości zemstę już okrutną układał.

Gdy na dwór księżnej Heleny przybyli, a Ziemowit się tam zabawiał, korzystał z tego Bawor, aby między ludźmi puścić gadkę, dla czego księżna nie przyjechała, bo wołała wieczory spędzać z Dobkiem, który jawnie i bezwstydnie kochankiem jej był, o czem świat cały miał wiedzieć.

Zaczęto o tem mówić tak głośno, iż księżna Helena i syn jej Przemysław dowiedzieli się o tem.

Ubodła ich ta niesława młodej pani, choć nie wierzyli, by słusznie ją oskarżano, i księżna Helena wprost Ziemowita o to zagadnęła.

Starzec, który żonę nad wyraz wszelki miłował, a o nią wściekle był zazdrosnym, jakby mu się nagle oczy otworzyły, oszalał.

Tegoż wieczora, gdy cały drżący, dał się Baworowi rozdziewać, napadł nań, aby mu prawdę mówił, nie nie tał, i z kądby ta wiadomość urosła, pod gardłem natychmiast wyznał.

Bawor, niby przestraszony, do nóg mu padł, płacząc i łkając, i począł dopiero okłamywać księżną, iż się po nocach z Dobkiem zamykała, że tam on przy niej musiał być nieustannie, że ludzie wielką poufałość jego widzieli, i że starzec niegodziwie był oszukany.

Bawor tak dowodnie wszystko to opisywał, dnie i godziny przywodził, tak jawną tę zbrodnię wystawił, iż Ziemowit mu uwierzył.

Spytał go tylko, dla czego mu wprzód tej

tajemnicy nie wyjawiał, na co zdradny człek ze łzami, nogi jego obejmując, rzekł, iż tak dobrego pana się litował i t. p.

Tejże nocy księżę Ziemowit natychmiast Bawora samotrzeć odprawił z rozkazem, aby Dobka ujął i do więzienia dał. Sam zaś drugiego dnia wybrał się do Płocka.

Gdy się owa rozmowa w sypialni księcia w Cieszynie wiodła, przy której głosu swego Ziemowit nie miarkował, wykrzykiwał i burzył się okrutnie, jeden z dworzan podsłuchał ją, a że Dobka przyjacielem był, pobiegł i za wielkie pieniądze najawszy posłańca, odprawił go wprzód, nim Bawor wyjechać mógł, dać znać Dobkowi, by natychmiast uchodził.

Stało się, że choć Bawor dniem i nocą spieszył do Płocka, gdy tam przybył, już Dobka nie zastał. Rzeczono mu, że podczaszy właśnie był na Pomorze pojechał, listy tylko do obojga książąt zostawiwszy, w których o przebaczenie prosił, iż z pewnym kapłanem, udającym się do ziemi świętej, pielgrzymkę tę miał odprawić.

Zniknięcie to Dobka, pomimo listów, w większe jeszcze podejrzenie księżnę podało.

Przybył stary Ziemowit, i żony widzieć ani słuchać jej nie chcąc, rozżalony, nieubłagany, służebne dziewczki kazał wziąć na spytki okrutne, a choć nic nie wyznały i niewinność księżnej

świadczyły, żonę wysłał do zamku Rawskiego, w więzieniu ją tam trzymać przykazując.

Mało było tej zemsty Baworowi, który nie rad, że mu Dobek z rąk uszedł, tak okrutnego Ziemowita umiał w gniewie i zajadłości utrzymać, że, gdy księżna synaczka na świat wydała, uduśić ją kazał.

Byłoby i dziecko padło ofiarą złego człowieka, gdyby litościwe ręce nie ocaliły mu życia. Rozgłoszono bowiem, że nieżywym na świat przyszło i potajemnie dano je na wychowanie na wieś o mil kilka od Rawy do szlachcianki Hinczowej, która, jak około własnego, około sieroty chodziła.

Dowiedziała się o tem Salomea, księżna Szczecińska, siostra jego przyrodnia, a że wielką litość miała nad zmarłą i o jej niewinności przekonana była, postanowiła wziąć je do siebie.

Ułożono tak, iż nocą nasłani przez księżnę Salomeę ludzie na dwór Hinczów najechali i dziecko uwieźli, nie dając się poznać nikomu.

Siedm już lat upłynęło od śmierci Ludomiły, gdy Bawor, który zawsze w wielkich łaskach był u starego, dowiedział się, że Dobek, powróciwszy z pielgrzymki do ziemi świętej, w Prusach się kędyś znajdował.

Więc gniew, już uśmierzony latami, znowu wybuchnął w księciu. Umiał go podniecać jeszcze Bawor.

— Choćby nie wiedzieć co kosztować miało, mieć go muszę! — krzyknął książę — aby się bezkarnością mi nie urągał.

Bawor sam zajął się tą sprawą. Wysłał więc jednego z dworzan, tak umówionego, aby Dobkowi zaręczył, że lat siedm pamięć wszystkiego zatarło, że książę niewinność jego uznał, przebaczył nieszczęście, którego był mimowolną przyczyną, i widzieć go, a nagrodzić pragnie.

Nie skłonił się z razu Dobek do powrotu, lecz gdy posłańcy, jeden za drugim, podjeżdżać, powtarzać i upewniać go zaczęli, naostatek dał się przekonać i pociągnąć do Płocka.

Przybywał najpewniejszy, iż go tu łaska spotka i oczyszczenie, a tu nań czekano z krwawym wyrokiem.

Ratować go nie było sposobu, a nikt też z nas ani się domyślał, by stary książę taką zemstę straszną żywił w sercu.

Zaledwie zjawił się w Płocku, gdy już czatujący nań Bawor z kilku pacholkami chwyciwszy go, pociągnął na zamek.

Stałem u drzwi samych, gdy bladego i drżącego, z rękami załamanemi, niemogącego już nawet o litość prosić, bo mu trwoga mowę odjęła, wepchnięto do izby.

Książę stał w pośrodku blady, czekany w rękę chwyciwszy. Oczy mu zabiegły krwią i usta dygotały. Wiedzieliśmy, że gdy go taki gniew straszny

opanuje, na nic nie pomni i własne dziecię gotów mordować.

Dobek zobaczywszy go, padł na kolana, złożył ręce i ostatkiem sił zawołał.

— Panie, na krew Chrystusa, Zbawiciela naszego przysięgam, jestem niewinny...

Zamiast odpowiedzi książę podniósł czekan do góry i z całych sił uderzył go nim w głowę. Krew trysnęła, a Dobek padł na ziemię z krzykiem, od którego włosy mu na głowie powstały.

Pachołkowie podchwycili padającego, gdyż krew jego księcia obryzgała.

Ziemowit chciał mówić, ale z gardła mu się tylko krzyk straszny wyrывał. Dopiero odstąpiwszy krok, spał się o stół i nie patrząc na Dobka, zawołał.

— Precz, końmi go rozerwać na szmaty!!

Bawor, który to usłyszał, dał znak i broczącego krwią na rękach w dziedziniec zamkowy wynieśli ludzie.

Około starego zaraz się zebrali urzędnicy, kapelan, jego poufni, ale wszystkich odpychał, nie słuchać nie chciał i bijąc w stół rękami, krzyczał ciągle.

— W szmaty zdrajcę rozerwać!

W podworcu też już siepacze gotowi wyrok spełniali.

Nikt na to okrucieństwo patrzeć nie miał siły, oprócz Bawora i oprawców.

Mnie, choć na wojnie i w różnych przygodach życia na krew i na męki nieraz przychodziło spoglądać, ogarnął jakiś strach i obrzydzenie takie, żem zbiegł do komory, aby wrzasku męzonego nie słyszeć.

Gdym potem wysunął się z izby, bojąc się spytać, lękając wyjść w podworce, znalazłem wszystkich milczących, więcej może jeszcze strwożonych niż ja. Zbliżyłem się ku izbie księcia i usłyszałem jęki, narzekania rozpaczliwe...

Stało się, jakom zmiarkował, coś takiego, czego zrozumieć było trudno.

Nie śmiałem pytać, gdy Szymczak, który był moim sługą przystąpił do mnie.

— Wiecie co się stało? — szepnął mi.

Spojrzałem nań.

— Zamordowano go!

Szymczak ręce podniósł do góry.

— Aliści nie wiecie, bo go śmierć oczyściła. Gdy końmi ciało rozerwano, okazało się, że niewiastą był, a nie mężczyzną.

Do księcia kapelan przybiegł, wyrzucając mu jego okrucieństwo, oznajmić o tem...

Stary leży wyrzekając krzyżem na ziemi.

Bawor ze dworu zniknął...

Książę długo nikomu się nie pokazywał, do nikogo nie mówił, pokutę chciał odprawiać w klasztorze, ale czas zatarł wszystko. Zakazano tylko w jakikolwiek sposób o tem wspominać przed

nim. Dopieroż zaczęto śledzić, kto był, z kąd pochodził Dobek i wydało się, że ksiądz ojciec jego, aby go nie oddalać od siebie, w tej sukni męskiej go wychowywał.

Ksiądz ten w istocie za grzechy pokutując, do Ziemi świętej się udał i zabrał z sobą Dobka mniemanego. W tej podróży zmarł on, zostawiając testament, w którym wszystko to zeznawał.

Syn powrócił już sam do kraju i dopiero miał coś przedsięwziąć z sobą, gdy go Bawor ściągnął podstępnie naprzód do Rypina, a potem do Płocka.

Długo Ziemowit przyjść nie mógł do siebie, dwa niewinnych żywoty mający na sumieniu. Lecz na tem nie koniec jeszcze...

Książe chory leżał, nieustannie modląc się i modlitwy nakazując po kościołach, gdy dnia jednego oznajmiono, że z Cieszyina przybył Franciszkanin O. Rajmund, który się z nim widzieć dopraszał...

Ponieważ mnicha z pobożności znano, puszczono go do księcia. Sam na sam z nim był, ale tajemnicy nie czyniono z tego, co przyniósł.

Bawor po roztarganiu końmi nieszczęśliwej, uszedłszy schronił się do Cieszyina. Tu go sumienie dręczyło i strach ogarniał taki, że jeść ni spać nie mogąc, od najmniejszego szelestu w szal wpadając, nakoniec zachorzał śmiertelnie i przed zgonem ks. Rajmunda wezwał dla spowiedzi.

Wyznał wtedy przed nim, iż fałszywie księżną spotwarzył przez zemstę za to, że go słuchać nie chciała...

Żeby zaś wiarę dano temu, co Franciszkanin przyniósł, zarazem mu wiele rzeczy takich pod tajemnicą spowiedzi powierzył, aby je księciu powtórzył, o których nikt w świecie wiedzieć nie mógł.

Mówią, że książę słuchając tego, porwał się i zawołał.

— Chyba zły duch objawił ci, księżę, to, o czem prócz mnie i jednego człeka, nikt wiedzieć nie mógł, boby to był życiem przypłacił.

— Ze złym duchem nie mamy do czynienia, my słudzy Chrystusowi a dzieci Franciszka świętego — odparł mnich surowo — ale to dowód, że iście ten mi to objawił, który był w części przyczyną złego...

Zaczął księcia do pokuty zachęcać O. Rajmund i taką skrucę dobył z zatwardziałego, że rzewnymi łzami oplakiwał okrucieństwo swoje.

Natychmiast po wszystkich kościołach zamówiono nabożeństwo żałobne za duszę księżnej, poczynił książę zapisy na klasztory; a że okazało się, iż dziecię ocalone było przez starego Jarosza, sługę Ziemowita, i oddane do Hinczów, nakazano szukać dziecięcia.

Jarosz natychmiast pobiegł na zwiady, ale tu znowu wieści żadnej już o niem nie znalazł, krom

że czasu nocnego napadu przez nieznajomych ludzi dziecię porwane zostało.

Domyślano się w tem sprawy Bawora i Jarosz ze smutku i żalości zmarł także.

Wśród tych utrapień, dowiedziawszy się o chorobie ojca, przybyła doń księżna Salomea Szczecińska, i aby go oderwać od miejsca, w którem wspomnienia straszne go prześladowały, zaczęła namawiać, aby z nią na czas jechał do Szczecina. Nie mówiła mu nic, tylko jedno, że się spodziewa, a jest prawie pewną, iż mu ta podróż przyniesie pociechę.

Stary był tak przygnębiony, iż się córce dał namówić do podróży. Jechaliśmy też pospołu wszyscy małemi dniami powoli, a księżna Salomea przodem posłała ludzi, aby ojcu przyjęcie zgottowano.

Zdaje się, iż czas tak obrachowany był, abyśmy nie pod noc, a za dnia na zamku stanęli. Stary przez drogę całą mało co mówił, a co mu się nie trařało, pacierze tylko na koronce drewnianej, którą mu O. Rajmund zostawił, odmawiał.

Gdyśmy u wnijsia stanęli, na powitanie nasze wyszedł młody chłopak, cudnej urody, skromnie ale bardzo pięknie przystrojony, który starego księcia, podszedłszy doń, mową bardzo układną powitał.

Wszyscyśmy nań oczy ciekawe zwrócili, a książę poblądł i oniemiał — tak nadzwyczajne

było podobieństwo owego młodzieńca i do niego i do całej rodziny.

Ziemowit miał łzy w oczach... Chciał pytać o chłopię, gdy księżna wzięwszy go za rękę, z nim razem padła na kolana.

— Kochany ojcze... to syn Ludomiły... Jam go to porwać kazała i u mnie się on wychował. Przebacz mi, a jemu nie skąp łaski swej.

Książe się rzucił ku niemu i ścisnąć go począł, nie mogąc się napatrzeć i nasłuchać.

Otóż macie całą ową historję krwawą a łzawą, która jakby te brzmi, co je stare baby wieczornicami wymyślać i opowiadać zwykły.

Tamże na zamku w Szczecinie zaraz książe Ziemowit nazwał młodego Henryka synem swoim, ale znając krew własną i obawiając się, aby synowie starsi nie knowali pżeciwnko temu, który im miał część spadku ich odjąć, postanowił, aby księdzem był i duchowną suknię wdział.

Zawczasu mu wyznaczył probostwo płockie, obiecując znączniejsze jeszcze wyposażenie.

Dalej już co zaszło, na tom nie patrzył — dodał Okoń — ale mi się widzi, że księża suknia młodego nie uczyni duchownym, gdyż całe mu się nie chciało jej oblekać i tylko przez posłuszeństwo dla ojca, musiał stan ten obrać...

Noc już była, gdy swe opowiadanie dokończył Okoń, zapraszając Dersława, aby przy nim spoczął w izbie, gdyż pościeli na dwu było dosyć.

— Mnie już sen nie bierze — odparł Nałęcz — lada chwila dzień pocznie, pojedę do swoich i byleście mi dali człowieka, co na drogę do Płocka przeprowadzi, ruszę dalej, bo tu robić nie mam co, a i was chcę uwolnić od niemilej gościny.

— Nie wyście mi niemili, ale wszelakiego oka ludzkiego radbym ujść — rzekł Okoń. Nie chcę mieć pókim żyw do czynienia ani z księżętą, ani ni z ich urzędnikami...

Gotówbym jak Gniewkowski Biały, ubić sędziego, gdyby mnie chciał ztąd wyganiać.

Zamyślił się Dersław.

— Cóż na to mówicie, jeśli Wielkopolanie mazowieckich Piastów zechcą?

— Sami powinni obrachować, w czyje się ręce oddadzą — rzekł Okoń. Jakim jest stary Ziemowit, takim będzie młody Ziemaszko... Janusz powolniejszy, ale i w tym krew odezwać się może...

Pomnę księdza w Płocku uczonego, który jednego wieczora bajkę nam opowiadał, jakoby żaby u Pana Boga o króla prosiły. Znudzony skrzekotaniem, kazał im belkę zrzucić... Nie rychło się do niej zbliżyć ośmieliły, lecz gdy postrzegły, że nieruchoma leży, jedna i druga skoczyła na nią. Nuż w krzyk, że im nie kloca, ale żywego pana potrzeba. Co Pan Bóg usłyszawszy bociana im posłał, a ten z nich dobrą brał dziesięcinę. Otóż obyście i wy Ludwika na Ziemo-

wita mieniając, tak na tem nie wyszli, jak żaby...

Potrząsł głową Dersław nic na tę powieść nie odpowiadając. Byłby może tu języka zasięgnąwszy do Płocka podróży zaniechał, lecz pana Mikołaja z Milanowa chciał też rozpytać i dotrzeć do samego księcia, a dowiedzieć się, co też on by rzekł na to, gdyby go na tron wezwać chciano?

Dniało już dobrze, gdy Dersław wraz z Okoniem do swoich ludzi za rzeczką przybył, i Łasotę znalazł już pogotowiu do dalszej podróży. Stary dziwak przeprowadzać ich niechciał dać nikomu, miał bowiem na myśli takimi popłatami wieść ich drogami, ażeby drugi raz na gródek jego trafić nie mogli.

Nic im o tem nie mówiąc, tak też uczynił, że niby sam nie będąc pewien dróg, do pół dnia ich wodził naprzód, w tył, na prawo i lewo, aby się tem obłąkali, i dopiero wymęczywszy dobrze, gdy Dersław domyślając się podstępu, wyrzekać począł i dąsać się, na gościniec wywiódł, a tu, nie czekając podziękowania z oczów im zniknął.

IX.

Było naówczas zamczysko Płockie, dzięki Kaźmirzowi królowi tak pięknie z murów grubych wzniesione, obwarowane, wieżami i bramami, umocnione, iż mało równych mu było na całej Polski przestrzeni. Sam nieboszczyk przebywał tu niekiedy, a lubował się tem wielce, że nowa twierdza teraz bodaj i krzyżakom się oprzeć mogła...

Cała ona bardzo wysokimi murami była opasana, a dla większego bezpieczeństwa, nie jedną ścianę obwodową miała, ale dwie, tak, że gdyby pierwszą zdobył nieprzyjaciół, stanąłby u drugiej, mocniejszej jeszcze, i na nowo szturmować musiał.

Mury oba u góry po pięć łokci, a w dole więcej jeszcze miały grubości i wszędzie blankami a wyżkami opatrzone były... Narożne wieżyce patrzyły daleko na okół, dwoista brama na wa-

łach i przekopach wodą zalanych tak była mocną i warowną, że nieprzyjaciół do niej niełatwo mógł się ważyć przystąpić, bo tu wszystkie środki obrony najsilniejsze nagromadzone były...

Miasto też same, krom nędznych przedmieść, z których lud łatwo mógł zbiedz, murem dobrym i okopem obwiedzione było...

Na owe czasy Płock przedstawiał się bardzo poważnie i pięknie, a że miał czas w pokoju się zaludnić i pobogacieć — życie w nim dosyć było wielkie i ruch znaczny. Przyczyniało się do tego, iż po śmierci Kaźmirzowej zająwszy je Ziemowit sam tu przebywał, a nie był nigdy bez kilku secin dobrze uzbrojonych ludzi, na wzór niemiecki, których choćby przeciw krzyżakom stawić można było...

Gdy synowie Ziemaszko młodszy i Janusz w Czersku i Warszawie już rządzili i gospodarzyli, stary Płocka z rąk nie puszczał, a i na to, co dzieciom oddał, pilno patrzył...

Chociaż na Mazowsze i na Płock nie napadał nikt, i jeszcze się nie było czego obawiać od Ludwika — czujność około miasta i zamku była wielka, i zaledwie w bramie ze swemi ludźmi się ukazał Dersław, natychmiast mu się spowiadać kazano zkąd, za czém i dokąd jechał.

Z prosta więc, dążąc do gospody na miasto, Nałęcz stary opowiedział się iż od Poznania przybywa, dla widzenia powinowatego (choć dalekie

to bardzo było krewieństwo) pana Mikołaja z Milanowa.

Ten, co u wrót języka od niego wziął, śnać zaraz o tem podskarbiemu oznajmić musiał na zamek, gdyż nim Derśław w gospodzie, ledwie ją wynalazłszy, miał się czas rozmieścić — gdy już od zamku staruszek siwowłosy, niespokojnie pytając o gości, nadażył.

Zobaczywszy Derśława, zdumiał się mocno, gdyż mu powinowatego oznajmiono, a z tym się nie czuł krewnym. Powitali się jako starzy druhowie

Nałęcz, zręczny zawsze człek, pół żartem mu się wytłumaczył, iż nieopodał będąc u Nałęcza, którego Zbikiem zwano, do Płocka dla widzenia go nawrócić.

Zerknął pan Mikołaj tak znając człeka, iż nie bardzo chciał wierzyć temu — lecz pokłonił się dziękując.

Maż był pod żelazną ręką księcia Ziemowita do wielkiej baczności na wszystko przywykły, i w mowie wstrzemięźliwy.

Siedli na stołkach prostych... i poczęła się rozmowa, jak zwykle u starych, od przypominania dawnych czasów i ludzi, których im nie stało.

Mikołaj z Milanowa dopytywał o tych, których w Wielkopolsce dawniej znał, Derśław zagadywał, jak się jemu wiodło... Stary, choć bardzo jeszcze żwawy, na wiek swój utyskiwał, mówiąc,

że tylko dla starego księcia, któremu do obucha służyć rad — trzyma się przy kluczach...

Ponieważ w gospodzie na dłuższe gawędy miejsce niedogodne było, pan Mikołaj na zamek do siebie prosił.

— Żona i dzieci moje na wsi, doma; jam tu sam jeden jako patyk, mówił podskarbi, na książęcym chlebie, więc i przyjęcie będzie, na jakie mnie stało...

Dersław tedy Lasotę swojego stawił przyjacielowi jako krewniaka, który po śmierci króla służbę utracił.

— Możebyście wy potrzebowali dworaka, który już dobrą odbył szkołę? rzekł śmiejąc się.

Mikołaj spojrział na młodzieńca i nie odpowiedział zrazu.

— Nie tak to łatwo u nas nowemu człowiekowi się umieścić, rzekł po chwili. Nasz stary książę młodym niedowierza... nie łatwo też do nich nawyka.

— Mój ci takim młodzieniaszkiem nie jest — dodał ukazując Dersław.

— Prędzejby w Czersku lub w Warszawie służba się znalazła niż u nas — rzekł pan Mikołaj.

— Nam też z nią nie pilno — wtrącił Dersław.

Gdy wkrótce potem na zamek się wybierali, a Mikołaj podskarbi Lasotę też zapraszał, wy-

mówił się ten, iż dla dozoru ludzi pozostać chciał w gospodzie.

Szli tedy starzy sami na zamek, a po drodze nie baczno go Derśława nie uchodziło.

Wiedział on o tem dobrze, iż chcąc poznać człowieka, tem bardziej takiego, który potęgę w rękę dzierżał — na wszystko co go otaczało pilno należało spojrzeć, bo tu każda rzecz miała swe znaczenie. Tak dobrze odarty kaftan sługi jak chudy koń żołnierza i obejście się ludzi, a głosy ich, zaraz o panu do którego należeli, oznajmywały.

Okolo zamku cicho było — czysto i ład wielki a karność widoczna. Choć służby i pacholców kręciło się dosyć, wrzawy żadnej nie słyszał...

W bramach i u wnijscia, choć pokój był, strażę stały, zbrojni miejsca swe zajmowali...

Drugie wrota przeszedłszy, większą jeszcze cichość w podworcu znaleźli; tu w pośrodku mury, okazały stał dworzec książęcy, pięknie kryty i dosyć rozległy.

W przedsieniach trochę czeladzi siedziało, jakby na rozkazy oczekując i ust prawie nie otwierając...

Jak na wszystkich dworach książęcych, które z zachodnimi państwami miały stosunki, i tu dwornia a rycerstwo więcej z niemiecka i z cudzoziemska poprzybierana była, niż dawnym obyczajem domowym.

Pominąwszy główne wnijsie dworu, p. Mikołaj na prawo szedł z gościem swym, do skrzydła w którym miał mieszkanie.

Położone ono było tuż przy książęcym skarbcu, który we dwu aż urzędnicy dozorowali. Nie było przypychu żadnego w kilku izbach pana Mikołaja, mało nawet wygody i szczupło sprzętu, bo stary, rodzinę wyprawiwszy na wieś, żył tu tylko jak na popasie.

W komorze sklepionej, do której gospodarz wprowadził Dersława, wisiał tylko Chrystus ukrzyżowany na ścianie i wygodniejsze siedzenie usłane było we wgłębieniu okna, z którego po za mury na łąki i lasy oko mogło wyjść z tego więzienia.

P. Mikołaj siadywał tu pewnie tęskniąc za wsią swą, za lasami, za polami, za swobodą, bo jest we krwi ziemianina polskiego, że zawsze za szerokimi obszary wzdycha, i w mieściskach a w murach więdnije.

Nie zdradzał tej tęsknicy baczny p. Mikołaj, bo by to książę wziął za złe, ale się ona na obliczu jego wycisnęła.

Starzy przyjaciele poufalej jeszcze na nowo rozpoczęli swe wspominki z czasów młodości, i Nałęcz miał rozpocząć z ręcznie badanie, gdy pacholę w padło w kusym stroju niemieckim, obcisłym — jakby przestraszone i dyszące, powołując podskarbiego do księcia.

Mikołaj, za ledwie przemówiwszy słów parę

uniewinnienia, natychmiast na zawołanie pospieszył do pana.

Dersław tymczasem siadłszy w oknie, mógł się bez przeszkody zamkowi przypatrzeć i przekonać, iż surowy w nim panował porządek, a i dostatek pewien, choć nie świecący, widać było.

Wszystko, co tu oglądał potwierdzało go w przekonaniu że ten właśnie Piast stworzony był dla Polski, w której porządku było omal i żelaznej potrzebowała dłoni..

Dobry czas zabawiwszy, wolnym krokiem powrócił wreszcie zadumany podskarbi.

— Jeżeli wam co zlecono i macie do czynienia — odezwał się Dersław, odprawcie mnie.

Pierwsza służba książęca, niż powolność dla przyjaciela.

— Nie mam nic, odparł p. Mikołaj — książę tylko miał już wiadomość, czyli też zobaczył, że nie sam wróciłem na zamek, chciał zaraz wiedzieć, kogo miałem u siebie i z czém przybyliście.

Jak widzisz czujni jesteśmy...

Po chwili zaś dodał podskarbi.

— Książę was widzieć chce...

Dersławowi tego było potrzeba, lecz nie dał poznać po sobie, że go to uradowało, skłonił głowę tylko.

— Nie obojętna dla nas rzecz, mówił dalej Mikołaj, co się u was w Wielkiej Polsce dzieje,

co na dworze królowej, o czem wy lepiej od nas być musicie uwiadomieni.

— Niewiem, boć wasz Janusz podobno z Ludwikiem i jego matką dobrze jest i często tam zagląda.

— Lecz dwoje oczu nie zawsze wszystko widzieć mogą.

Dersław nic już nie mówiąc o tem, oświadczył, że na zawołanie księcia jest gotowym.

Tymczasem podskarbi go przyjmował przekąską i winem, które o wielkim zbytku na dworze nie świadczyły... Jedzenie nieszczególne, a wino było kwaśne.

W godzinę może potém toż samo pacholę przyszło im oznajmić, że stary książę gościa wielkopolskiego rad był widzieć u siebie.

Szli tedy z podskarbim razem do głównego gmachu, i z wielkiej sieni, w której mnoga służba siedziała cicho się zachowując, przez duże izby puste zaprowadzeni zostali do sypialni starego księcia... Ta była niewielka, sklepiona, z jednym oknem dosyć wysoko umieszczonem, tak, że do siedzenia przy nim w murze przez parę wschodów wstępować było potrzeba..

Książę — mąż letni, wzrostu wielkiego, z brodą siwą, podparty na wyschłej, żylastej ręce, w długiej sukni czarnej, siedział przy stole...

Twarz jego przeciągła, czoło i czaszka wyniosłe, wyraz oczów ostry i przenikający — miały

w sobie coś pańskiego, dumnego, nakazującego. Na obliczu tem widać było, że pan jego rozkazywać nawykł, i większym się czuł nad losy swoje... Powaga krwi królewskiej okrywała całą tę postać, zmuszającą do poszanowania, obudzającą trudną do pojęcia trwogę.

Nawet ktoby historyi tego człowieka nie znał domyślałby się w nim nie umiającego ustąpić ani losom ani ludziom męża wielkiej woli i gwałtownego charakteru

Nogi starca spoczywały na podesłanej skórze niedźwiedzia. Suknia ciemna i jakby żałobna, bez żadnych wyszywań i ozdób, prawie ubogą się wydawała. Obok ręki, na której był sparty, na stole rzucony leżał różaniec drewniany, przypominający ten, o którym mówił Okoń, że mu go O. Rajmund zostawił,

Czekan też, na którym się zwykł był opierać gdy wstawał, tuż był sparty o jego siedzenie, Laska to była razem i broń straszna...

W izbie starca, pomimo wiosny i trochę odsuniętego okna, panował zaduch i zapach jakichś ziół czy kadzidła...

Gdy weszli, a podskarbi Derśława przedstawił księciu, pokornie mu się do kolan kłaniającego — Ziemowit dosyć długo ani się odezwał, ni poruszył. Ściągnawszy brwi, wpatrywał się pilnie w przybyłego, jakby jego i myśli w nim zamknięte chciał odgadnąć.

Z pańską obojętnością go przyjmował...

Nareszcie, gdy już Dersław tem zimnem milczeniem był potroszę zmieszany, stary książę głowę ku niemu zwrócił nieco i grobowym głosem odezwał się.

— Zkąd jedziecie?

— Od Poznania, rzekł Nałęcz. Rodzina nasza rozmnożona i rozsypana, a pod te czasy niespokojne rody muszą i wiedzieć o sobie i trzymać się gromady. Jeździłem po swoich, a niedaleko będąc Płocka, starego druha zamyśliłem nawiedzić . . .

Odpowiedź ta czy zaspokoili księcia czy nie zmilezał po niej znowu . . Utkwiło w nim to wyrażenie o czasach niespokojnych.

— Dla czegoż tam u was niespokojnie? — zapytał.

— Nie od dziś dnia tak u nas, — odparł Nałęcz. — Kraj daleko od oka pańskiego, wielkorządcy mu nie zawsze podolają. A co dopiero, gdy, jak ten, którego teraz mamy, obcy nam są.

Od granicy wpadają rozbójnicy Sasi i Brandeburgi — a za ich przykładem i ziemianie nasi puszczaają się na łotrostwa. —

Dersław westchnął.

— Czuje to Wielkopolska iż pod obce poszła panowanie, dodał.

Stary książę powiódł ręką chudą po czole, zmarszczył się . . nie odpowiadał.

Nałęcz, czy ośmielony, czy próbując — do-
rzucił jeszcze. —

— Piasta nam potrzeba było. . .

I na to stary nie rzekł nic jeszcze, rękę schylił i począł nią, zamyślony, przebierać różaniec. .

Nastało milczenie przykre. —

Nałęcz się już więcej mówić nie ważył;
czekał.

Książę swym grobowym głosem rzucił pytanie.

— Kogóż wam za wielkorządcę dali?

— Ottona z Pilicy, Krakowianina — rzekł
Derśław, nie tając niechęci. — Nie bywało to u nas
jeszcze, aby ze wzdargą tej ziemi, obcych przy-
syłano — ale niewiasta rządzi.

Na twarzy Ziemowita, który siedział plecami
do okna zwrócony, poruszenie jakieś widzieć się
dało, lecz na ukrytych w cieniu rysach Derśław
rozpoznać nie mógł, czy uśmiech przebiegł, czy
pogardliwie skrzywiły się usta.

— Widzę, żeście nowemu panu nie bardzo
radzi, przebaknął.

— On też nam nie ojcem ale ojczymem jest,
rzekł swobodnie Derśław. Węgry mu milsze. . .

Książę poprawił się na siedzeniu. . .

— Trudno dwom i tak wielkim państwom
panować razem — począł bardzo powoli. — Na
jedno i mniejsze ledwie człowiek starczy, dniem
i nocą czuwając. . .

— Wielkopolskaby też rada, jak to już by-

wało — odezwał się Nałęcz — swojego pana mieć i ze swej krwi... Dotąd Ludwik męskiego potomka nie ma, spadnie więc to kiedyś na Piastów.

Słyszac po raz już wtóry tę przegrywkę Ziemowit, odprostował się, sparł na wysokiej krzesła poręczy, ręce założył na piersiach i zadumał..

— Wam, rzekł chmurno — byle panów mieć.. Nigdyście nie radzi temu, którego macie. a pachnie wam inny.. Znam ja was, ziemian wszystkich... Jeden wam za surowy, drugi za powolny... Chcielibyście sami pono a bezpańscy być... aby was niemcy zjadły.

— Miłościwy książę — przerwał Dersława surowego byśmy się nie nękli — ani powolnym nie gardzili, byle nasz był własny. Obcego nie chcemy... bo on nas nigdy nie zrozumie..

— A kto was zrozumie? rzekł szydersko stary...

Nałęcz obrażony mieco spuścił głowę. — Milczeli znowu. —

— Siedzielibyście spokojnie z tym panem jakiego wam pan Bóg i wola króla nieboszczyka naznaczyła, — powoli począł książę — wpatrując się bystro oczyma zasepionemi w Dersława. Nie znajdziecie takiego Piasta, któryby dla miłości waszej ważył to, co ma pewnego, o niepewne się dobijając... Król Ludwik mocnym jest... Tego co ma, wydrzeć sobie nie da... Ze szląż-

kich naszych żaden przeciwko niemu nie pójdzie... ani ja ani moi synowie . .

Jeżeli Ludwik bezpotomnie zemrze, lub córki tylko zostawi... to rzecz inna... A i naówczas zięciowie się korony dobijać będą. — ci zaś pewnie możni i mocni się znajdą... Mówią już o tem. —

Dersław słuchał ze spuszczoną głową. — Przykro mu było, lecz tłumaczył to sobie tym, iż książę myśli swej przed nieznanym człowiekiem mógł niechcieć wyjawić. —

Książę, dokończywszy powolnej mowy, którą przerywał kilkakroć badając oczyma, jakie na słuchaczu uczyni wrażenie, zakaszał się, podparł na rękę jak wprzód i wpadł w zadumę, zdając się zapominać, że człowieka obcego miał przed sobą.

Potem, jakby zbudzony, zwrócił się ku niemu i spytał.

— A chleb tego roku mieć będziecie?

— Na polach niezgorzej u nas, — rzekł Nałęcz.

— O pomorku nie słyszać? — dodał Ziemowit.

— Dzięki Bogu...

— A ludzie zamiast pokoju używać, — rzekł książę, — wiehrzą się i mordują?

— Na to my sami nie poradzimy, — odparł

Nałęcz, — dosyć, że każdy życia swojego i mienia ustrzeże.

— A wielkorządzca?

— Jakby go nie było... innego nam dać muszą, tego słuchać nikt nie chce, — rzekł Dersław.

Ziemowit potrząsnął głową.

— Jedźcie z żałobą do Krakowa, — ozwał się pomilczawszy, — juści królowa ulituje się wam.

— Wielkopolanie tam ucha nie mają, — począł Dersław. — Węgry naprzód, a po nich Krakowianie... nam tam za drzwiami stać każą, jeśli i od tych nie odpędzą...

Ziemowit uśmiechnął się.

— Zazdrosni jesteście, boć tam pono na dworze Elżbiety wesoło czas drudzy trawia. Pan Bóg dał Elżbiecie jakąś cudowną młodość, którą powiadają, że czarami utrzymuje a wodą.

Dersław ramionami poruszył.

— Królowa stara, ale doradców młodych lubi, — rzekł, — i to nas gubi. Lada chłystek, co ją zabawi, łaski i zaufanie ma, starych sług poodprawiała.

Ziemowit wysłuchał tych skarg, a że z całego rozmowy toku mógł się domyśleć, iż Dersław przybył tu na zwiady, podniósł się więc znowu i — powtórzył.

— Radźcie sobie jako możecie, na Piastów żadnych nie rachujcie. Chybabyście (tu się roz-

śmiało) biedaka tego z pod kaptura wywlekli, który nie do stracenia nie ma.

Dersław jakby wstrzymać się nie mógł, wtrącił.

— Jakby nas bieda zmusiła, kto wie? Ma on dawnych przyjaciół! gotowi sprowadzić i tego.

Ziemowit głową potrząsł.

— Papież wam go nie da, — rzekł, — a on też przeciwko siostrzenicy Ludwikowej żonie i dzieciom jej oręża nie podniesie; nie mówiąc już o potędze króla.

I nie człek to do wojowania a panowania, do których więcej siły potrzeba i wytrwania, niż on ma.

Ręką uderzył po stole, sparł się i zamyślił.

Milczenie trwało długo, a rozmowa tak przykre uczyniła wrażenie na Nałęczu, iż kroków parę ku progowi ustąpiwszy, gotów był żegnać się i odchodzić.

Domyślając się tego stary książę, powstał, ujawnszy czekan, który stał przy siedzeniu, czekan ten, przypominający Dersławowi niedawno słyszaną Dobka historię.

Gdy podniósł się i wyprostował, siłę w nim jeszcze męzką, mimo wieku, widać było, i postawę przybrał pańską a rycerską. Głos jego złągodniał.

— Idźcie z Bogiem, — odezwał się do Dersława. — Niedobreście mi wieści przynieśli od Wielkopolski, życzę, by się wam lepiej działo,

choćby przez wdzięczność, że o Piastach nie zapominać.

— Cóż, gdy oni o nas myśleć nie chcą! — odważył się wtrącić Dersław.

— Nie chcą? — podchwycił z dziwnym wyrazem Ziemowit, — mów — nie mogą.

Skinął głową i z wolna się ku oknu odwrócił. Nałęcz pokłonił się nisko. Książę już nań nie patrzył.

Wyszli z komory i Nałęcz aż do podwórza słowa nie rzekł, tak był strapiony.

— Na tych nie ma co rachować, — mówił w duchu.

Podskarbi go poprowadził nazad do swej izby, i z pochmurnej twarzy domyślił się, że posłuchanie przykre na nim uczyniło wrażenie.

— Książę wasz — otwarcie rzekł Dersław, — klina mi ostrego zabił w serce.

— He? — spytał podskarbi.

— Nie ja jeden, ale wielka część ziemian naszych na niego rachowała.

Podskarbi słuchał nie odzywając się.

— Zmusi nas za mnichem gonić! — mruknął Dersław.

— Toż go znać powinniście, iż statku nigdy nie miał, — przerwał podskarbi. — Nawet i z rozpacy za pana go wybierać się nie godzi.

Nałęcz siadł i w okno począł patrzeć.

— Krew w nich zastygła, — rzekł smutnie, —

pańskiego ducha nie mają. Łoktkowego ducha, tego, co o głodzie i chłodzie, bez ludzi, państwa się dobijał i dobił. Maluczkim był, a wielkim się stał... Toć nie królewscy synowie są, ale gospodarze i ziemianie, którzy nie wazą kawałka ziemi dla korony, bo im ich miękkiego spokoju żal...

To było słowo ostatnie Dersława, który za podany sobie kubek pochwycił, zmuszając się do wesołości.

— Bądź co bądź, — zawołał, — ja Piastom piję prze zdrowie! Jeden się przecież znalazł, co nas i swój ród ratować zechce, aby ta krew, co nam tyle wieków panowała, nie zmarniała na drobnych udziałach i po siołach się nie rozlała.

Podskarbi uderzywszy w kubek, wychylił go także w milczeniu.

Inną może myśl miał tu przybywając Nałęcz, lecz gdy z ust Ziemowita stanowczą wziął odpowiedź, już gościć tu dłużej nie chciał.

— Miły mój, — rzekł do podskarbiego, — nie wskórawszy u was nic, bo i mojemu Lasocie na dworze waszym trudnoby się było pomieścić, jutro mi trzeba nazad w drogę.

Nie próbował go zatrzymywać podskarbi. Przesiedzieli tak rozmawiając pocichu do wieczora, pan Mikołaj gościa odprowadził do gospody i pożegnali się smutni.

Lasota swemu staremu z oczów wyczytał zaraz, że nadąsany powracał, przekonał się o tem

mocniej jeszcze, usłyszawszy, że nazajutrz o świecie kazał się do podróży sposobić.

Gdy Mikołaj z Milanowa odszedł, Dersław mu rzekł.

— Nie ma tu co robić... Piastów tu nie szukać. Zniemczeli i postarzelili... indziej ich potrzeba patrzeć.

Tak się skończyła próżna do Płocka wyprawa.

Drugiego dnia jechał już stary Nałęcz milczący i zasepiony, z Lasotą ledwie kilka słów obojętnych zamieniając.

Lecz że naturę miał, która długo markotną być nie mogła, zawsze sobie jakiejsz szukając pociechy; gdy jeden dzień się tak nagryzł, wstał potem orzeźwiony i weselszy.

Oko mu się znowu zaśmiało i usta powoli odmykać zaczęły.

— Pomieścić się waści nie udało, — rzekł do Lasoty, — ale bo też zmarniećby ci tu przyszło na dworze tym, który jak klasztor wygląda... i z Mazurami byś nigdy nie doszedł sprawy. Rodzili się wszyscy pod ciemną gwiazdą, jak mówi przysłowie. Ale na tem nie koniec. My ludzie jesteśmy uparci. Gdy nas od jednych drzwi odegnają, drugich szukamy, a gotowiśmy i oknem wleźć. Piastowiczów jest siła, dworów i służby nie zabraknie, prędzej ludzi dla nich nie stanie.

Tak, niby się nie zdradzając przed Lasotą, i udając, że dla jego tylko sprawy podróż przed-

siębrał, pospieszał Nałęcz do Wielkiej Wsi. Po drodze tylko na chwilę do kilku dworów wstąpił, ziemianom spotykanym coś podszeptał, a w domu ledwie przenocowawszy, nazajutrz sam do Poznania pociągnął.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



diekt 14 strow
grob .

Biblioteka Raczyńskich

JK 32



JK0032